Hilaire Belloc

Wolna prasa

chestertonpolska.org

Hilaire Belloc

Wolna prasa

Pierwsze wydanie: „The Free Press" (1918)

Przekład: Maciej Wąs

Wydawca:

Chesterton Polska

2017

chestertonpolska.org

Okładka: Subway riders in New York City, aka *Evening News*.

Autor: Francis Luis Mora

Domena publiczna

Spis treści

Słowo od tłumacza

„Nie ma człowieka, który potrafiłby bieglej popadać dobrowolnie w totalną nudę" powiedział o swoim przyjacielu, Hilarym Bellocu, Gilbert Keith Chesterton. Pomny tej kwestii (i wiedząc, że każda pozornie niefrasobliwa uwaga GKC okazuje się z czasem proroctwem) siadałem do tłumaczenia z duszą na ramieniu.

Na wstępie uspokajam: nie jest tak źle.

Widać, że świadomość sobie a reszta sobie, bo choć czytałem przecież tysiąc razy, że Belloc i Chesterton, pomimo iż byli bliskimi współpracownikami w dziennikarstwie i przyjaciółmi w życiu (acz, wbrew temu co się mówi, wcale nie *najlepszymi* przyjaciółmi), pisali całkowicie odmiennie. Wiedziałem o tym – a jednak, nie mogłem poradzić na pewne zdziwienie.

Bo rzeczywiście, Belloc to zupełnie inna sprawa. Pomijam, że styl GKC już w jego czasach uznawany był za szczyt ekscentryzmu; ale nawet bez tego istotnie trudno znaleźć człowieka piszącego momentami bardziej sucho. Przy czym trudno powiedzieć, żeby to była autentyczna nuda. Belloc nie jest nudny, tylko kostycznie rzeczowy; i nie bez przyczyny, bo pisze o sprawach bardzo poważnych.

Jak w wypadku wszystkich zwolenników klasycznych definicji polityki i etyki, u dystrybucjonistów wszystko ostatecznie jest jakoś-tam polityczne. Ta książka zaś, jest polityczna zupełnie otwarcie. Celem jest jedno: demaskacja mechanizmów oligarchicznej władzy początku wieku XX, kryjącej się za fasadą wyborów i parlamentów, i skłonienie czytelnika do refleksji, do pogłębionego namysłu nad stosunkami społecznymi, w których przyszło mu żyć.

Co to jest demokracja? Co to jest równość obywatelska? Jak mają się do siebie polityka i gospodarka?? Kto dysponuje kanałami informacji? Jak z nich korzysta? Jaką gwarancję ma szary obywatel, że wszystko, w co wierzy, to nie jedna wielka manipulacja?

No i, rzecz jasna, czym jest republika? Czy to rządy prawa – czy rządy prawników? Jak uchronić swój kraj od takiej katastrofy?

Te pytania, intrygujące swoją aktualnością, stawia Belloc, w moim przekonaniu, niezwykle sugestywnie. Jak to zwykle bywa w wypadku ludzi mądrych, a zapomnianych, w wielu wypadkach wyprzedza swoją epokę, wskazując na zależności, o których zaczęto mówić dopiero sporo później, w epoce przekazu masowego.

Oczywiście, to nie jest tekst naukowy. Ale nie wszystko musi być naukowe.

Mnie wszakże interesuje w tej książce najbardziej co innego. Otóż, ilustrując swoje obserwacje i tezy (stawiane czasem tak kategorycznie, że niemalże z nutką arogancji) przykładami z życia, odwołuje się Belloc do różnych wydarzeń i postaci historycznych, o których wiemy obecnie już bardzo mało. Intrygujące przy tym, że jego interpretacja tych wydarzeń *zawsze* różni się, i to w znacznym stopniu, od tego, co wyczytać można współcześnie w książkach „kanonicznych".

Ja, oczywiście, nie mam powodów posądzać Belloca o kłamstwo.

I tutaj właśnie dręczy mnie pewna wątpliwość; bo o czym to świadczy? Czy Belloc miał rację, czy się jednak pomylił? Przepowiadał, że wolna prasa ostatecznie zwycięży; a jednak – czyż nie karmi się nas teraz *wyłącznie, w* książkach, w telewizji, w debatach naukowych, w szkołach nawet, interpretacjami wziętymi z prasy oficjalnej tamtego czasu? A tymczasem źródła mogące nam w tej sprawie pomóc albo zupełnie już zniszczały, albo dotarcie do nich wymagałoby nakładów czasu i pieniędzy przerastających możliwości przeciętnego, pracującego człowieka. Ostatecznie zatem w wielu sprawach, kluczowych dla kształtu powojennej Europy, praktycznie nic nie wiemy.

A jednak, z drugiej strony, do czegoś możemy dotrzeć. Nie wiemy czy Dreyfus był winny, czy nie; wiemy wszakże przynajmniej, że nie wiemy. Nie wiemy, czy Afera Marconi była skandalem korupcyjnym, czy nie. Wiemy wszakże przynajmniej, że nie wiemy. I wiemy coś jeszcze ponad. Znamy bowiem przyczynę naszej niewiedzy: że w obydwu tych sprawach nie chodziło wcale o prawdę, ani jednej ani drugiej stronie.

Wciągnięte w doraźne polityczne spory, stały się one symbolami i narzędziami tryumfów określonych idei politycznych, metodami zachowania bądź obalenia danego *status quo*. Innymi słowy: straciły rzeczywistość.

Przykładów współczesnych nie trzeba daleko szukać.

Dlatego też ta mała broszurka wydaje mi się nader aktualna. Bo mówi o sprawach, które wciąż się dzieją – i które, dzięki temu, że dysponujemy dzisiaj telewizją i internetem, są nam wszystkim bardzo bliskie. Pozostaje więc liczyć, że te proste ale przenikliwe, by nie powiedzieć: odkrywcze, obserwacje staną się dla ich czytelników źródłem inspiracji do podjęcia we własnym życiu konkretnych działań, i pozwolą im (tak jak mnie) lepiej orientować się w labiryncie polityczno-biznesowych powiązań, stanowiących sól dzisiejszego ustroju narodów.

I nie bójmy się żadnej konkluzji, choćby nie wiem jak trudna była. Wobec takiej dysproporcji sił, nie wygra się grając na zasadach przeciwnika. Powiedzmy sobie zatem, że chrześcijanin uznający, jak Belloc, fundamentalną równość wszystkich ludzi, potrzebuje dzisiaj solidnego *marginesu*. Bo świeczniki są już zajęte.

Maciej Wąs,
Sosnowiec, dnia 05 V 2017,
św. Wincentego Ferreriusza

Dedykacja

Kings Land,

Shipley, Horsham,

październik 1917

Mój drogi Orage[1],

dedykuję ten krótki esej właśnie tobie – nie tylko dlatego, że to „The New Age" (twoja gazeta) opublikowała go w jego pierwotnej wersji, ale przede wszystkim dlatego, że to ty byłeś, jak sądzę, pionierem wolnej prasy w tym kraju, przynajmniej jej nowoczesnych form. Dobrze pamiętam dni, w których pisało się do „The New Age" po prostu dlatego, że wiedziało się iż to jedyna gazeta, w której można powiedzieć prawdę o korupcji w polityce, czy też w ogóle o jakimkolwiek wielkim złu. Trochę czasu już od wtedy upłynęło; lecz nawet dzisiaj jest w Londynie ledwie jedna inna gazeta, w której da się to zrobić, czyli „New Witness". Gazety twoja oraz ta redagowana obecnie przez pana Gilberta Chestertona to najpełniejsze przykłady wolnej prasy, jakimi dysponujemy.

Czymś bardzo znaczącym jest, jak mniemam, fakt, że owe dwie gazety różnią się bardzo co do filozofii, stanowiących podstawę ich działań oraz celów społecznych, do których zmierzają. Innymi słowy,

1 Alfred Ryszard Orage (1873-1934) – angielski intelektualista, nauczyciel, pisarz, dziennikarz, człowiek renesansu, redaktor naczelny pisma „The New Age". W 1924 roku sprzedał „New Age" i poświęcił się różnorodnym zagadnieniom duchowym (teozofia, czyli zwykła szarlataneria), ale na szczęście w 1931 roku wrócił do zainteresowań politycznych, optując za koncepcją kredytu społecznego Clifforda Hugo Douglasa (1879-1952). Koncepcja kredytu społecznego polega z grubsza (bardzo z grubsza) na tym. Otóż Clifford poczynił obserwację, że wraz ze wzrostem technologicznym produkcja staje się coraz większa i droższa, a pensje za tym wzrostem nie nadążają. W związku ze społecznym wymiarem gospodarki (czyli prawem do udziału wszystkich w owocach produkcji) należy zatem wypłacać wszystkim obywatelom dywidendę, która pozwoliłaby im nadążyć za tym wzrostem. Za wypłacanie tej dywidendy odpowiedzialny powinien być urząd zajmujący się emisją pieniądza (Narodowy Urząd Kredytowy). Inną metodą byłoby dopłacanie sprzedawcom różnicy między ceną ustaloną pierwotnie, a ceną po obniżce, która pozwoliłaby rozejść się danemu produktowi prawie w całości (przykład: jeśli jakiś produkt kosztuje 100 zł i sprzedaje się ¾ tego, ile go jest, należy obniżyć cenę do 75 zł a resztę wyrówna Narodowy Urząd Kredytowy). Oczywiście, taka teoria zakłada kompletnie inną rolę pieniądza w gospodarce, które to zagadnienie zostawiam osobom bardziej kompetentnym.

różnią się zasadniczo w kwestii religii, która stanowi w ostatecznym rozrachunku jedyne źródło akcji politycznej. Nie ma, być może, żadnego, najmniej nawet istotnego problemu prywatnej bądź publicznej moralności, których jedna nie próbowałaby rozwiązać inaczej, i zwykle wprost odwrotnie, niż druga. A jednak, przekonujemy się, że te dwie gazety, z ich małymi nakładami, odcięte od dotacji reklamowych, mające bardzo wąskie grono czytelników, dysponują wpływem który nie tylko wzrasta, ale od dawna pozostaje zupełnie nieproporcjonalny w stosunku do ich wyników liczbowych.

Z powodu słów wydrukowanych w „The New Age" i „New Witness" naprawdę coś się dzieje. W wypadku tego, co nazwałem prasą oficjalną, sąd ten staje się coraz mniej i mniej prawdziwy. Zjawisko to warto przeanalizować. Intelektualnie będzie ono niezwykle interesujące dla każdego przyszłego historyka. Oto bowiem mamy pewien czynnik liczbowo bardzo niewielki, pozbawiony jedynej oczywistej mocy politycznej naszych czasów (to jest mocy przekupstwa), rygorystycznie bojkotowany – tak bardzo, że z ledwością wiadomo coś o nim poza gronem jego bezpośrednich odbiorców, a za granicą zgoła nic. A jednak, ten czynnik działa – tworzy – w momencie, w którym niemal wszystkie inne zabijają czas; jego praca zaś, staje się coraz bardziej i bardziej widoczna.

Powodem tego jest, rzecz jasna, zasada filozoficzna, w starożytności stanowiąca oczywistość, lecz w ostatnim pokoleniu nowoczesności niemal zupełnie zapomniana, mówiąca, że prawda ma właściwą sobie siłę. Samo oburzenie przeciw zorganizowanemu kłamstwu, sama rewolta przeciw niemu, to rzecz twórcza.

Tezą tego małego eseju, jak się przekonasz, jest iż wolnej prasie uda się kiedyś osiągnąć jej główny cel, czyli ujawnić prawdę.

Wyznaję, że zdarzył się w przeszłości moment, w którym nie pisałbym z podobną nadzieją.

Kila lat temu, szczególnie po założeniu „Eye Witness"[2], wobec ogólnej nudy i utrudzenia, na poły przekonany, że nic nie uda mi się osiągnąć. To nastrój naturalnie towarzyszący wygnaniu. Wytworzenie tego nastroju stanowi naczelny cel bojkotu, któremu poddaje się dzisiaj wolną prasę.

2 Gazeta założona przez Belloca w 1911, głównie o celach politycznych (do których należało demaskowanie korupcji władzy i dowiedzenie, że Wielka Brytania jest państwem pańszczyźnianym, opartym na tajnym sojuszu rządu z wielkim biznesem). Uwzględniało wszakże również sprawy kulturalne. Przeewolułowało w „New Witness" i „G.K.'s Weekly".

Przekonałem się wszakże, przez ostatnie pięć lat, że był to nastrój fałszywy. Teraz już jest dla mnie jasne, że cierpliwa praca nad demaskacją tego, co złe, nieważne z jakimi mocami przyszłoby się jej zmagać, przynosi owoce. Taki jest też powód, dla którego napisałem te kilka wydrukowanych tutaj stron: by przekonać ludzi, że nawet obecnie w sprawie reform politycznych można coś zrobić, i że nawet w tych czasach znajdzie się miejsce dla czegoś w rodzaju wolności słowa.

Piszę przy końcu tej książki, że nie wierzę iżby stworzony przez nas nowy duch miał wydać z siebie kiedyś jakąkolwiek formę samorządu, czy to gospodarczego, czy politycznego. Sądzę, że rozkład zaszedł zbyt daleko. Tutaj mogę się mylić; to ledwie opinia co do przyszłości. W innych sprawach mam doświadczenie i konkretny przykład na wyciągnięcie ręki, i pewien jestem, że batalia o prawdziwą debatę polityczną została wygrana. Świadomość obecności zła w naszym życiu publicznym, w gospodarce i polityce, będzie stawać się odtąd coraz powszechniejsza; i choć musimy jeszcze cierpieć zewnętrzne konsekwencje przetrwałego przecież tak długo reżimu kłamstw, teraz wiadomo przynajmniej, że jego kłamstwa to kłamstwa. Głoszenie prawdy, choćby nie przynosiło bezpośrednich i praktycznych owoców, to dziś przynajmniej pewna miara wolności, i choć państwo musi jeszcze wytrzymać ataki nadchodzącego ku nam zła, to przynajmniej walka ta nie dokona się w ciszy. Dlatego też warto było walczyć.

Z wyrazami szacunku,
Hilary Belloc

Wolna prasa

W niniejszej książce chciałbym zająć się złem współczesnej prasy kapitalistycznej, tym, jaką rolę pełni ona w wypaczaniu i dezinformowaniu opinii publicznej oraz w jaki sposób sprzyja skupieniu władzy w rękach łajdaków; korektą, jaką będzie stanowić tutaj powstanie wielu małych, niezależnych organów prasowych i prawdopodobnym wzrostem znaczenia tychże.

I

Około stu lat temu pojawiło się w Europie wiele spraw, stanowiących owoc połączonych wpływów renesansu i reformacji: dwojga zwaśnionych bliźniąt.

Pojawiły się one najpierw w Anglii – ponieważ Anglia była jedyną prowincją Europy, w której nowinki protestantyzmu współistniały ze starą tradycją łacińską. W Anglii wszakże wielka schizma i herezja wieku szesnastego, dzisiaj wyraźnie już dogasająca, skończyłaby się na długo wcześniej. Przez kilka pokoleń występowałaby wyłącznie na owych zewnętrznych, północnych rubieżach kontynentu, którym ledwie w mechaniczny sposób podano niegdyś pożywny, lecz twardy pokarm Rzymu, ale które nigdy nie zdołały go strawić. Jej koniec nastąpił by wraz z, albo krótko po, końcu Wojny Trzydziestoletniej.

To zdrada korony angielskiej, ogromny łup, błyskawicznie zdobyty przez kilku awanturników pokroju Cecilów i Russellów, i przez jeszcze mniejszą liczbę starych rodów, jak Howardowie, zmusiły Anglię, z całą jej wspaniałą tradycją i z całym organicznym dziedzictwem wielkiej europejskiej sprawy, do opowiedzenia się po stronie Północnych Niemiec. Nieuniknione było zatem, że to właśnie w Anglii, w jedynym miejscu, gdzie znalazło naprawdę głęboką glebę, wydarzenie to przyniesie pierwsze owoce.

Owocem, na którym najbardziej skupia się uwaga współczesnego świata, był *kapitalizm*.

Kapitalizm narodził się w Anglii i z angielskiej reformacji; dopiero w wieku osiemnastym wszakże stał się w pełni żywy. W wieku dziewiętnastym – osiągnął dojrzałość.

Owocem pokrewnym było zaś to, co nazywamy obecnie *finansami*, to znaczy: zdominowanie państwa przez prywatnych kapitalistów, którzy, korzystając z faktu, że państwo ma pewne niezbywalne potrzeby, obciążają je stale rosnącą hipoteką, nieustannie pracując przy tym, aby ich interesy stawały się coraz bardziej płynne i anonimowe, oni sami zaś ponosili za nie coraz mniejszą odpowiedzialność. I znów, to również zaczęło się, i to bardzo dynamicznie, w Anglii, od pierwszego – jak sądzę – prawdziwego „długu publicznego"; produktu w swojej genezie współczesnego kapitalizmowi.

Innym jeszcze, owo osobliwe i niewątpliwie krótkotrwałe rozkapryszenie ludzkiego umysłu, z całą pewnością pojawiające się w dziejach już wcześniej, które nazywa się „sofistyką", i które zasadza się na wymyślaniu przeróżnych „systemów" celem objaśnienia świata; w przeciwieństwie do filozofii, której celem jest odpowiadanie na pytania, rozwiązywanie problemów i ostateczne ustalenie prawdy.

Najbardziej wszakże dla nas interesującym, choć i bardzo niewielkim, owocem tego wydarzenia było to, co nazywa się dziś „prasą". Ona również pojawiła się współcześnie z kapitalizmem i finansami: wraz z nimi wzrosła i im właśnie służyła. Szczyt swej potęgi osiągnęła w tym samym momencie współczesności, co one.

Zastanówmy się chwilę, co to naprawdę oznacza: dzięki temu będziemy mogli lepiej zrozumieć drogi jej rozwoju.

II

„Prasa" znaczy tyle (przynajmniej na potrzeby podobnej analizy), co przeprowadzona za pośrednictwem wydawanych często i regularnie, zadrukowanych arkuszy papieru, dystrybucja (1) wiadomości oraz (2) opinii.

Te dwie rzeczy zasadniczo się od siebie różnią i powinno się je rozważać osobno, ich losy zbiegają się jednak w jednej prawidłowości: że fałszywe opinie najłatwiej podsuwa się ludziom w fałszywych wiadomościach, szczególnie tych, których fałsz wynika z zatajenia.

Najpierw zatem, wiadomości:

Wiadomości, to jest wszystkie te informacje, które są dla nas w jakiś sposób istotne, lecz pozostają poza naszym polem widzenia, to rzecz konieczna dla życia państwowego.

Oczywisty, absolutnie najtańszy, *uniwersalny* środek ich rozpowszechniania, stanowi słowo mówione.

Ktoś coś zobaczył; wielu innych ludzi zobaczyło to samo. Dają o tym świadectwo, ci zaś, którzy ich słuchają, powtarzają je dalej. Prasa wbiła w środek tego naturalnego systemu (który ciągle stanowi punkt odniesienia dla wszystkich rozumnych ludzi, kiedy to tylko możliwe, w tym, co ich najbardziej bezpośrednio dotyczy) dwie nowinki, obie nadzwyczajnie szkodliwe. Po pierwsze, zapewniła ona słowu drukowanemu *szybkość rozprzestrzeniania się, z* którą słowo mówione nie może konkurować. Po drugie, wyposażyła je w *mechaniczne podobieństwo,* stanowiące prostą odwrotność wszystkich cech zdrowych wiadomości, krążących między ludźmi.

Chciałbym szczególnie podkreślić tutaj punkt drugi. Mało się go rozumie, a jest niezwykle istotny.

Jeżeli chcemy dowiedzieć się, co sądzić o pożarze wybuchłym wiele mil od nas, zagrażającym wszakże naszej własności, słuchamy, co opowiada o nim tuzin ludzi. Momentalnie i instynktownie

przeprowadzamy tutaj pewne rozróżnienia, w zależności od charakteru świadków. Równie instynktownie, sprawdzamy to, co słyszymy, w świetle wewnętrznych możliwości sytuacji.

Człowiek uczciwy i rozsądny mówi nam, że dach się zawalił. Głupi fantasta, a jednocześnie zwykły oszust, upewnia nas, że na własne oczy widział, że dach stoi. Przypominamy sobie wobec tego, że dach zbudowany był z żelaznych belek pokrytych drewnem, i wyciągamy następujący wniosek: że szkielet nadal stoi, ale pokrycie spadło razem z resztą płonącego śmiecia. Zdrowy rozsądek i znajomość rzeczy każą nam uwierzyć raczej złym, niż dobrym wieściom – i bardzo słusznie. Prasa wszakże, z samej swojej natury nie może zapewnić czytelnikom dużej liczby osobnych relacji. Zbieranie ich byłoby czynnością zarówno zbyt czasochłonną, jak i zbyt drogą. Tym mniej potrafi oddać wagę każdego z nich. Dlatego też zapewnia nam, nawet w najlepszym wypadku, gdy jej świadectwo nie jest skażone, najwyżej jedno ogólnikowe zeznanie. Tę jedną relację, jak już powiedziałem, rozpowszechnia się potem jednogłośnie i z wielką szybkością. Zamiast pewnego organicznego przekonania, do którego dochodzi się w spokoju i kontakcie z wielością źródeł, czytelnik otrzymuje przekonanie mechaniczne. W tym samym czasie, miriady innych odbiorców dochodzą do dokładnie takiego samego przekonania. Fakt, że oni również je mają, tylko go w nim utwierdza. Nawet wtedy zatem, gdy siewca wiadomości, to jest właściciel gazety, nie ma żadnego specjalnego powodu by kłamać, daną treść przekazuje się w formie wypaczonej i nieludzkiej. Kiedy zaś ma powody do kłamstw (czyli w większości wypadków), kłamstwa te mogą z łatwością zakrzyczeć każdy prawdziwy przekaz mówiony bądź pisany.

Jeżeli taka jest prawda w wypadku wiadomości i tego, w jaki sposób wypacza je instytucja prasy, to tym bardziej w wypadku opinii.

Opinie oceniamy przede wszystkim na podstawie osobowości tych, którzy ich dostarczają: ich głosu, tonu, mimiki i znanych nam cech charakteru. Prasa eliminuje trzy czwarte tego, na podstawie czego można sądzić opinie. A jednak – przedstawia je z tym większą mocą. Treści komunikowane są na jej łamach w sposób niemalże bezosobowy, który robi wrażenie tym większe, że ma w sobie jakieś oderwanie, jak gdyby mówił tutaj autorytet zbyt pewny i poważny, aby wolno go było kwestionować. Taką opinię poznają w jednej chwili tysiące ludzi. I nie ma sposobu, by ją podważyć – chyba że przypadkiem jakiś inny władca podobnej maszynerii napisze coś przeciwnego i sprawi, aby przeczytali to wszyscy ci, którzy poznali pierwszy przekaz.

Te ogólne rysy cechowały prasę nawet w jej niemowlęctwie, kiedy każde wydawnictwo docierało tylko do stosunkowo wąskiej grupy odbiorców; kiedy dystrybucja była trudna, i kiedy adresaci należeli do swego rodzaju elity, zdolnej przynajmniej w pewnym stopniu poddać odbierane treści krytyce. Lecz choć ją cechowały, nie miały na nią wielkiego wpływu; ponieważ była to jeszcze stosunkowo mała sprawa. Starsza metoda pozyskiwania informacji wciąż jeszcze pozostawała w pamięci i w użyciu. Ludzi, którzy czytali regularnie, czy to gazety, czy książki, było bardzo niewielu – i przykładali oni znacznie większe znacznie do jakości niż do ilości swoich lektur. Co więcej, potrafili w pewien sposób osądzić ich prawdziwość i wartość.

Ponadto, na tym wczesnym etapie prasa była jeszcze wysoce różnorodna. Jeden człowiek mógł wydrukować i sprzedać prawdopodobnie z tysiąc egzemplarzy gazety przedstawiającej jego wersję danej wiadomości, opinie jego czy jego kliki. Istniały setki innych ludzi, którzy – gdyby się bardzo wysilili – byli w stanie przygotować konkurencyjne świadectwo czy opinię. Zobaczymy jak, w miarę wzrostu kapitalizmu, te środki bezpieczeństwa zniszczały i negatywne cechy opisane rozrosły się we współczesną potworność.

III

W miarę jak kapitalizm się rozwijał, prasa również przeszła z fazy wczesnej w znacznie gorszą. Postępy kapitalizmu oznaczały, że coraz mniejsza i mniejsza liczba ludzi trzymała w ręku środki produkcji i dystrybucji, dzięki którym możliwe stało się drukowanie i udostępnianie bardzo szerokiemu gronu odbiorców gazet obfitszych w wiadomości niż te starszego typu. Kiedy warunki dystrybucji zmieniły się po raz pierwszy wraz z pojawieniem się kolei żelaznej, różnica stała się bardzo wyraźna, i powstało być może sto, a być może dwieście tak zwanych „organów" prasowych, które – w tym kraju a także w nizinnych rejonach Szkocji – mówiły ludziom, co właściciele ich zechcieli im powiedzieć, zarówno co do wiadomości, jak i opinii. Zaludnienie wciąż było jeszcze względnie równomierne; istniała spora liczba kapitałów lokalnych; dystrybucja nie osiągnęła jeszcze nawet takiego poziomu organizacji, który umożliwiłby konkurencję rynkową gazet z, powiedzmy, Londynu i Birmingham, choć to przecież raptem sto mil odległości. Gazety z miast położonych tak daleko od Londynu jak choćby York, Liverpool i Exeter miały tym większą niezależność.

Co więcej, masy ludzkie, choć czytało się wtedy (i pisało, jeśli już o tym mówimy) ze znacznie większym pojęciem niż dziś, nie nabrały jeszcze zwyczaju codziennej lektury.

Można wątpić, czy nawet dzisiaj masy ludzkie (w sensie rzeczywistej większości pełnoletnich obywateli) naprawdę go mają. Chodzi mi jednak o to, że w czasie, o którym mówię (czyli na początku i w części środka wieku dziewiętnastego), czytanie gazet nie stanowiło codziennej czynności zarabiających na życie pracą rąk. Gazety pisało się wtedy głównie dla tych, którzy mieli czas wolny; i którzy po większej części trochę podróżowali – oraz liznęli przynajmniej ciut humanistyki.

Materiały gazetowe *pisali* częstokroć ludzie mniej biegli. Niemniej ci, którzy je pisali, zdawali sobie sprawę, że piszą do odbiorców typu, który opisuję. Do dziś w zdrowych pozostałościach naszego starego państwa, w wioskach i miasteczkach, tradycja ta jest w znacznej mierze żywa. Mieszkańcy wsi, w której mieszkam, potrafią czytać równie sprawnie co ja; w czasie wolnym wszakże wolą po prostu ze sobą rozmawiać – albo, w porywach, przejrzeć najważniejsze wiadomości z frontu, co zajmuje im zwykle kilka chwil; taki mają nawyk i, powiadam, wolą to od codziennego ślęczenia nad jardami kwadratowymi

zadrukowanego papieru, który (szczególnie w wypadku wydań niedzielnych) stanowi teraz chleb powszedni ich krajanów z miast. Jest tak dlatego, że na wsi wciąż ma się prawdziwych sąsiadów – podczas gdy miasta to ledwie kurz samotnych atomów, mentalnie (i częstokroć fizycznie) głodujących.

IV

Tymczasem, wraz z rozwojem nowej instytucji „prasy" pojawił się jeszcze inny niezwykle istotny czynnik: również wywodzący się z kapitalizmu, a zatem w miarę jak ustrój ten rozkwitał coraz bardziej i bardziej, on również coraz pełniej przejawiał wszystkie jego toksyczne wady. Czynnikiem tym było *finansowanie przez reklamę*.

Z początku, reklama nie stanowiła metody finansowania. Ktoś, kto pragnął uczynić jakąś rzecz powszechnie znaną, nie mógł znaleźć żadnego skuteczniejszego i szybszego środka od gazety. Płacił zatem, aby wydawcy wydrukowali ogłoszenie że ma dom na wynajem, czy wino na sprzedaż.

Jasne jednak było, że coś takiego doprowadzi w końcu do paradoksów, które zaczęły nękać nas w późnym wieku dziewiętnastym. Gazety czerpały pieniądze nie tylko z tego, że je kupowano, ale również z tego, że niektórzy płacili za rozpowszechnianie za ich pośrednictwem wieści o swoich towarach bądź potrzebach. Można je było zatem z zyskiem sprzedawać poniżej kosztów produkcji. Dochody z reklam sprawiły, że przy kosztach druku wynoszących dwa pensy i cenie gazety wynoszącej jednego pensa, sprzedaż i tak się opłacała.

We wcześniejszej i prostszej fazie rozwoju reklamy jedynymi rzeczami, na które patrzył reklamodawca, były zasięg i sprawność dystrybucji; tak też wydawca zwiększał zyski zwiększając dystrybucję – a czynił to zapewniając czytelnikom coraz więcej materiału na coraz lepszym papierze, w cenie coraz mniej pokrywającej koszty produkcji.

Kiedy przekonano się, jak wielki wpływ może wywierać reklama na swoich odbiorców, szczególnie na tych, których dostarczają jej nasze współczesne wielkie miasta (chaos, powtarzam, osamotniałych umysłów, z coraz mniejszych bagażem osobistych doświadczeń i coraz mniejszym oparciem we wspólnej tradycji), wartość reklamy gwałtownie wzrosła. „Założenie gazety" stawało się coraz bardziej i bardziej kuszącą perspektywą – choć rozwój kapitalizmu czynił ją także perspektywą coraz bardziej i bardziej ryzykowną. Założenie nowej dużej gazety, nawet tylko na skalę lokalną, niosło ze sobą coraz większe i większe ryzyko, ponieważ koszty również stawały się coraz większe i większe, straty zaś, jeśli komuś się nie

powiodło, coraz szybsze i bardziej dotkliwe. Reklama stawała się coraz bardziej i bardziej zdecydowanie podstawowym źródłem dochodów, i dostarczanie jej ludziom w coraz większych ilościach i na wszystkie możliwe sposoby w cenie jednego bądź pół pensa stało się głównym celem nowego, zamożnego kapitalisty, w którego przeobraził się właściciel gazety.

Na długo przed początkiem trzeciej części wieku dziewiętnastego gazeta, jeżeli dobrze się sprzedawała, wszędzie stanowiła inwestycję czy własność zależną wyłącznie od reklamodawców. Przestała uważać swoich odbiorców za cokolwiek innego poza przynętą na reklamodawców. Utrzymywała się (*na tym etapie*) wyłącznie z kolumn reklamowych.

V

Zatrzymajmy się chwilę na tym etapie rozwoju prasy i przyjrzyjmy kilku innym rzeczom, które zaczęły się wtedy pojawiać, a także – zbadajmy, dlaczego zaczęły się one pojawiać.

Po pierwsze, gdy reklamy zaczęły pełnić w wypadku gazety rolę podstawowego źródła funduszy, jej właściciel-kapitalista z konieczności zaczął dbać o przychody z reklam bardziej niż o cokolwiek innego. Istotnie, *musiał* tak robić, o ile nie dysponował znacznymi środkami z innych źródeł i nie zarządzał swoją gazetą jak luksusem, kosztującym rocznie fortunę. Jako iż w tej branży reguły są takie: albo bardzo duże zyski, albo bardzo duże i szybkie straty – straty wynoszące przynajmniej £100.000 rocznie, jeżeli mowa o wielkonakładowej gazecie codziennej.

Musiał zatem traktować reklamodawców jak pracodawców. W tym zakresie jego zdolność do zaopatrywania czytelników w prawdziwe wiadomości i drukowania dobrze uzasadnionych opinii stała się bardzo ograniczona, mimo iż przecież takie wiadomości i opinie powinny być mu najbliższe.

Pojedynczy właściciel gazety może, na przykład, odczuwać jak największą niechęć do handlu cudownymi panaceami[3]. Może nie podobać mu się kantowanie ludzi ubogich, stanowiące duszę tego zajęcia. Samemu mógł przeżyć kiedyś bolesne chwile ze względu na nieroztropne przyswojenie jednego z tych szalbierskich medykamentów. Z pewnością jednak nie mógłby wydrukować jakiegoś zwalczającego je artykułu, ani nawet artykułu opisującego po prostu metody ich przyrządzania, bez utraty znacznej części dochodów, bezpośrednio; pośrednio zaś może wszystkich – ze względu na rozdrażnienie innych reklamodawców, którzy dostrzegliby jego niezależność i zaczęli obawiać się problemów na własnym gruncie. Wolałby odzyskać pieniądze, namówić czytelników, żeby kupowali truciznę i samemu (indywidualnie) pozostać wolnym od środka, który dla zysku polecał innym.

3 Bardzo popularna wtedy sprawa, pod koniec wieku XIX i na początku XX jedna z głównych niszy biznesu reklamowego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza, chyba że zaznaczono inaczej).

Jak z panaceami, tak z czymkolwiek innym, co się reklamowało. Jakkolwiek zła, tandetna, szkodliwa czy nawet zdradziecka sprawa by to była, właściciel zawsze miał jedną alternatywę: albo publikować materiał *dla niego osobiście* niegroźny i ocalić fortunę, albo odmówić – i stracić fortunę. Zawsze, rzecz jasna, wybierał pierwsze.

Po drugie, nastąpiła zmiana jeszcze poważniejsza. W miarę, jak reklama stawała się dla gazet podstawowym źródłem dochodu, zamożny reklamodawca (w miarę, jak kontrolujący kapitał stawali się coraz mniej liczni i nawiązywali coraz bliższe kontakty) nie mógł nie zacząć uważać zamieszczania swoich reklam za coś w rodzaju łaski.

Wymiana zawsze ma ten psychologiczny, lub – jak kto woli – artystyczny element.

W czystej ekonomii, wymianę precyzyjnie równoważą obopólne korzyści wymieniających; tak, jak w czystej dynamice mamy równoległobok sił. W nadzwyczajnej złożoności świata realnego na ów idealny równoległobok sił wpływają materiał, tarcie i miliony innych rzeczy; w ekonomii zaś, wymianę warunkuje nie tylko zwykła chciwość, ale także mnóstwo innych namiętności: działają tutaj miliony dodatkowych, półświadomych i podświadomych motywów.

Stawki proponowane przez reklamodawcę zależały wciąż *głównie* od nakładu, niemniej zaczęły kierować nim również bardziej złożone motywy. Nie chciał zamieszczać swoich reklam w tych gazetach, co do których obawiał się, że systemowo zagrożą kapitalizmowi; tym mniej w tych, które publikowały opinie mogące zaszkodzić jego prywatnej fortunie. Głupi (jak wszyscy, którzy kierują się tylko żądzą zysku) nie potrafił poradzić sobie z rozróżnieniem gazety wielkonakładowej i gazety małonakładowej, ale skierowanej do bogaczy. Nie decydował się zamieścić reklamy luksusów w gazecie czytanej przez połowę członków zamożniejszych klas Anglii, jeśli tylko w Narodowym Klubie Liberalnym, czy jakimś tego typu miejscu, ktoś powiedział mu, że to gazeta „w złym guście".

Reklamodawca dzierżył nie tylko tę moc negatywną, tę, którą zapewniały mu możliwości poskąpienia komuś łaski czy mecenatu, ale również pozytywną, choć uzyskał ją nieco później.

Reklamodawca zorientował się, że może narzucać gazetom ogólną linię przekazu i treść opinii; i że ma w rękach nową, potężną broń – *tuszowanie* informacji.

Nie wolno nam przesadzić w ocenie tego elementu. Bo, po pierwsze, siła wielkiej prasy kapitalistycznej była równa sile wielkich reklamodawców. Po drugie, nie istniały jasne różnice między kapitalizmem, który miał gazetę a kapitalizmem, który zamieszczał reklamy[4]. Właściciel „The Daily Times" miał udziały w firmach James Soap czy Smith's Pills. Człowiek, który zagrał i stracił na gazecie „The Howl"[5], zagrał i wygrał na biurze maklerskim reklamowanym w „The Howl". Nie zachodził tutaj konflikt interesów klasowych, co więcej: wszyscy kapitaliści byli tego samego gatunku i tej samej rasy. Jegomość, który szybko bogacił się na spekulacjach akcjami gazet – albo też kończył przez nie w więzieniu – był dokładnie takim samym typem człowieka, który kupował tytuł szlachecki po tym jak „zebrał żniwo" z akcji teatrów wodewilowych czy podrzynał sobie gardło na wieść o tym, że ktoś przejrzał jego blef w sprawie indyjskiego srebra. Ten typ współcześnie bardzo często się spotyka. Pełno go w parlamencie, prowadzenie gazet to zaś ledwie jedno z jego licznych zajęć, z których wszystkim przydaje się sugestywność reklamy.

Czasami wybucha między właścicielem gazety a reklamodawcą otwarta wojna, szczególnie, gdy – jak w wypadku konfliktów farmerów ze sztucznymi monopolami – obydwaj walczący to ludzie podłego, przebiegłego i nieinteligentnego typu. Z tej samej przyczyny bez przerwy występują między nimi także różne mniejsze tarcia. Czasem zwycięża właściciel, czasem reklamodawca, ale nigdy społeczeństwo.

Jak dotąd, udało nam się zaobserwować trzy podstawowe etapy rozwoju prasy. (1) Staje się ona własnością ledwie kilku bardzo bogatych ludzi, zazwyczaj bardzo podłego pochodzenia i charakteru. (2) W ich rękach przemienia się w zwykły komercyjny interes. (3) Ekonomicznie opiera się na pieniądzach uzyskiwanych od reklamodawców, którzy mogą ją z tego względu częściowo kontrolować, ale którzy należą, w sferze motywacji i sposobu działania, do tego samego, kapitalistycznego gatunku. Ich wpływy nie konfliktują się zatem zazwyczaj z wpływami właścicieli gazet, niemniej – fakt, że gazeta utrzymuje się z reklamy, zaowocował wytworzeniem się takich standardów druku i papieru, że nikt – chyba że

4 W oryginale brzmi to równie… oryginalnie.

5 Belloc pisał o tej gazecie także w dziełku *The Green Overcoat* (1919), nonsensownej powieści detektywistycznej; trudno ustalić, czy to jego własny twór, czy nawiązanie do historii, ale obstawiałbym to pierwsze.

z katastrofalną stratą – nie mógłby publikować w dużych nakładach wiadomości i opinii, które nie podobałyby się wielkim kapitalistom.

Wydawałoby się zatem, że niezależna prasa nie może znaleźć dla siebie żadnej podstawy ekonomicznej, ponieważ czytelnicy przywykli do tego, że coś, czego produkcja kosztuje trzy pensy, kupuje się za jednego – bo różnicę pokrywają dotacje z reklamy.

Obecnie jednak, działa tutaj czynnik gorszy – znacznie gorszy – nawet od owej negatywnej a czasem też pozytywnej mocy reklamodawcy.

Chodzi o nadejście czasu potentata prasowego jako prawdziwej siły sprawczej w wielkiej maszynerii państwa, człowieka ważniejszego od urzędników państwowych, nominującego i dysmisjonującego ministrów, narzucającego kierunki działań politycznych, i – ogólnie mówiąc – uzurpatora suwerenności, działającego w sekrecie i nieodpowiadającego za swe czyny.

To najważniejsze wydarzenie polityczne naszych czasów i swoista cecha charakterystyczna tego kraju. Pojawiło się to w pełnej formie i wzięło nas z zaskoczenia pośród zamętu straszliwej wojny. Jeszcze kilka lat temu nikomu by się o tym nawet nie śniło. Dzisiaj to już kapitalny element naszego systemu politycznego. Premier zyskuje bądź traci władzę na mocy decyzji właściciela koncernu prasowego – a nie głosowania czy jakiejkolwiek innej formy jawnej zwierzchności.

Nie prowadzi się żadnej polityki bez upewnienia się, że potentat prasowy jest za. Tylko niewiele projektów politycznych proponuje się bez uprzedniej konsultacji. Znaczna część to bezpośrednie skutki jego nakazów. Jeśli mamy porozmawiać o sprawie realnie (jak robi się to w zaufanych kręgach w Westminsterze), trzeba powiedzieć, że rządzą nami przede wszystkim nawet nie zawodowi politycy, nawet nie ci, którzy im płacą, ale ci, którzy akurat stoją na czele trustu prasowego – na tę chwilę ludzie wielkich ambicji i całkowicie pozbawieni skrupułów.

W jaki sposób doszło do takiej katastrofy? Tego właśnie musimy dociec, zanim będziemy mogli przyjrzeć się sposobom jej funkcjonowania i możliwym środkom zaradczym.

VI

Temu rozwojowi prasy towarzyszyła nieustannie, *po pierwsze* jako sensowna lecz dyskusyjna doktryna; *po drugie* – tradycja pozbawiona związku z rzeczywistością; *po trzecie* – hipokryzja wciąż jeszcze udająca prawdę, określona definicja funkcji prasy; doktrynę, którą musimy precyzyjnie zrozumieć zanim będziemy mogli przejść do kwestii natury prasy w naszych własnych czasach.

Doktryna ta mówiła, że prasa stanowiła *organ opinii* – to jest wyraz myśli i woli publicznej.

Dlaczego doktryna niniejsza była pierwotnie, jak napisałem, „sensowna lecz dyskusyjna"? Na pierwszy rzut oka nie wydaje się ani taka ani taka.

Człowiek kontrolujący jakąś gazetę może wydrukować każdy fałsz czy fantazję, jakie tylko zechce. *On* jest dyktatorem: nie jego czytelnicy. *Oni* to ledwie odbiorcy.

Tak: niemniej, jego czytelnicy go ograniczają.

Jeżeli jestem dość bogaty, aby kupić wielką rotacyjną maszynę drukarską i wydrukować w milionach kopii gazety codziennej *wiadomość* że papież został metodystą, albo *opinię,* że pinezki to pożywne i zdrowe śniadanie, moja gazeta, zawierając takie właśnie wiadomości i takie opinie, w oczywisty sposób nie otarłaby się nawet o myśl i wolę powszechną. Nikt, poza niewielką mniejszością katolicką, nie chce słuchać o papieżu; i nikt, czy katolik czy muzułmanin, nie uwierzy, że papież został metodystą. Nikt spośród żywych nie będzie chciał jeść pinezek. Maszyna drukująca podobne rzeczy może je sobie drukować, właściciel gazety z całą pewnością może zmusić swoich pracowników, przynajmniej większość z nich, aby pisali jak im każe. Ale jego gazeta przestanie się sprzedawać.

Nie ma jednak dymu bez ognia, i ziarno prawdy zawarte w legendzie o prasie „reprezentującej" opinię publiczną bierze się stąd, że istnieje *granica* bezczelnego zaprzeczania powszechnie znanym prawdom, której prasa nie może przekroczyć bez narażania się na poważne straty finansowe ze względu na spadek sprzedaży, synonimiczny ze spadkiem siły wpływu. Kiedy zatem mówiło się o właścicielach gazet

jako o „reprezentantach opinii publicznej", był w tym cień sensowności, jakkolwiek absurdalne może się nam to dziś wydawać.

Gazety to wciąż tylko pewna oferta; kupowanie ich to (póki co przynajmniej) nie obowiązek prawny. Można zatem odnieść w tym interesie sukces wyłącznie jeśli drukuje się wiadomości, które mogłyby ludzi zainteresować i takiej natury, dzięki której naprawdę mogliby dać się oszukać. Gazeta może sztucznie wytwarzać zapotrzebowanie, niemniej w dziejach ludzkości występują pewne ogólne tendencje, których ani potentat prasowy, ani żadna inna istota ludzka nie może kontrolować. Jeżeli Anglia prowadzi wojnę, żadna gazeta nie może bojkotować wieści wojennych i przetrwać. Gdyby London zdewastowało trzęsienie ziemi, ani reklamodawcza siła firm ubezpieczeniowych, ani troska właścicieli gazet o stabilność runku nieruchomości nie mogłyby sprawić, żeby wieści o tym „nie wyciekły do gazet".

Istotnie, do stosunkowo niedawna – do „lat osiemdziesiątych" powiedzmy – większość wiadomości dotyczyła tych spraw, które ludzie pragnęli zrozumieć. Jakkolwiek byłyby przeinaczone, okrojone czy zafałszowane, zajmowały się przynajmniej rzeczami interesującymi, których nie wymyślili sobie właściciele, i o których opinia publiczna – jako całość – pragnęła się czegoś dowiedzieć. Nawet dziś, i nie tylko w wypadku wojny, zdarza się to całkiem często.

Było (i jest) też jeszcze jedno utrudnienie w sztucznej produkcji informacji prasowych; to, że rzeczywistość zawsze ostatecznie postawi na swoim. Nie da się, przynajmniej nie przez dłuższy czas, kneblować rzeczywistości.

Słowem, prasa zawsze musi zajmować się tym, co nazywa się dzisiaj „aktualnymi sprawami". Może bardzo skutecznie *bojkotować, i* tak też robi, z nieograniczoną mocą. Nie może jednak sztucznie wytwarzać tematów wiadomości.

Tyle jest zatem, przynajmniej, z prawdy w starej fikcji, jakoby prasa stanowiła „organ opinii": że musi ona w pewnym stopniu (i to całkiem pokaźnym) poddawać obserwacji i debacie prawdziwe wydarzenia. Może selekcjonować więc też selekcjonuje. Może przeinaczać więc też przeinacza. Ale może czynić to tylko do pewnych granic. Granice te, jak sądzę, zostały osiągnięte; tym jednak zajmę się dokładniej na dalszych stronach.

VII

W kwestii opinii występują te same ograniczenia.

Jeżeli jakąś opinię można puścić w obieg pomimo, czy też w okresie obojętności, prasy (a to naprawdę ryzykowna teza); jeśli nie istnieją akurat żadne mechanizmy wyciszania wyrazów doktryny w oczywisty sposób istotnej dla czytelników – w takim wypadku prasa musi, prędzej czy później, zająć się tą doktryną: tak, jak musi zajmować się naprawdę istotnymi wiadomościami.

Tutaj również mamy do czynienia z czymś bardzo różnym od „organu opinii", statusu, do którego gazety wielkonakładowe rościły sobie pretensje w przeszłości. Próbuję dowieść tutaj wszakże tylko prawdy, że prasa – w sensie wielkich gazet kapitalistycznych – nie może całkowicie odciąć się od opinii.

W naszych czasach w Anglii widzieliśmy trzy przykłady tego stanu rzeczy. Dwa z nich dotyczyły wąskiej klasy bogatych, jeden – mas ludowych.

Dwa mające swoje źródło pośród wąskiej klasy bogatych to ruch fabiański[6] i ruch na rzecz równouprawnienia kobiet. Ten, który wziął się ze zrywu ludowego, to nagłe, krótkie (i szybko stłumione) powstanie klasy pracującej przeciwko jej panom w kwestii chińskiej siły roboczej w Afryce Południowej[7].

Ruch fabiański, będący ruchem salonowym, zmusił prasę do dyskutowania o za i przeciw w sprawie socjalizmu. Choć czyniono wszystko co tylko możliwe aby zbojkotować w prasie teorię socjalizmu, fabianie mieli przynajmniej dość siły aby wymusić debatę, i do dziś udało im się ją skanalizować i skierować przede

6 Towarzystwo Fabiańskie – towarzystwo społeczno-polityczne, założone w 1884 roku przez państwa Sidneya i Beatrycze Webbów oraz Jerzego Bernarda Shawa, promujące ideę stopniowej reformy kapitalizmu w duchu socjalistycznym. Skupiało ludzi bardzo zamożnych.

7 Odniesienie do praktyki sprowadzania wielkiej liczby robotników chińskich do pracy w kopalniach i fabrykach Afryki Południowej w latach 1902-10; spowodowało to wielkie niepokoje społeczne.

wszystkim ku ich autorskiej wersji państwa pańszczyźnianego[8]. Osobiście osiągnąłem najwyżej wiek średni, a pamiętam jeszcze takie czasy, w których popularne gazety typu „The Star" otwarcie drukowały artykuły promujące kolektywizm, i choć dzisiaj podobnych argumentów nigdy się w prasie nie słyszy – w znacznej mierze ze względu na to, że Towarzystwo Fabiańskie porzuciło kolektywizm na rzecz pracy przymusowej – możemy być pewni, że żadna kapitalistyczna gazeta w ogóle by ich nie dyskutowała, a tym bardziej ich nie popierała, gdyby nie została do tego zmuszona. Gazety zwyczajnie *nie mogły* ignorować socjalizmu wtedy, gdy poglądy te kształtowały znaczną część opinii bogatych.

Tak samo było w wypadku sufrażyzmu, krzyku podniesionego w Londynie przez klikę bardzo bogatych kobiet. Osobiście nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego te zamożna damy tak płomiennie pragnęły czegoś równie absurdalnego jak współczesne prawa wyborcze, czy dlaczego tak śmiertelnie nienawidziły chrześcijańskiej instytucji rodziny. Podejrzewam, że to kwestia jakiejś perwersji. Tak czy inaczej wszakże, działały z wielką szczerością, poświęceniem i entuzjazmem, cierpiąc wiele dla swojej sprawy i stosując taktykę, która jako jedyna ma szanse przynieść w plutokracji jakieś skutki praktyczne, mianowicie: postawiły swoich bogatych przyjaciół w nadzwyczaj niezręcznej sytuacji. Można powiedzieć, że ani jedna gazeta nie wsparła tej sprawy – ale przynajmniej nie została zbojkotowana. Przeciwnie: żywo się ją dyskutowało.

Krótki błysk w ciemnościach sprawy chińskiej siły roboczej był, jak sądzę, czymś jeszcze bardziej niezwykłym. Prasa nie tylko otrzymała nakaz od dwóch maszynerii partyjnych (wtedy sprzymierzonych dla utrzymania władzy) aby agitację w sprawie chińskiej siły roboczej szczelnie bojkotować, ale bojkot ów leżał także w ewidentnym interesie wszystkich kapitalistycznych potentatów prasowych – i taki bojkot istotnie nastąpił, i trwał tyle, ile mógł. Sprawa była jednak dla nich zbyt duża. Zwaliła ich z nóg. W północnej części kraju odbywały się wielkie zgromadzenia polityczne, niemalże osiągające godność ruchu ludowego – i prasa nie tylko że poddała tę kwestię pod dyskusję, ale nawet pozwoliła sobie na nieśmiałe wyrazy poparcia.

Chodzi mi zatem o to, że definicja prasy jako „organu opinii", czyli „wyrazu myśli i woli powszechnej" nie jest *wyłącznie* hipokrytyczna, chociaż *głównie* taka. Jest w tym uroszczeniu nieco sensu. Pokolenie wcześniej było go więcej, a dwa pokolenia wcześniej – jeszcze więcej.

8 Aluzja do książki Belloca pod takim właśnie tytułem (w angielskim *Servile State*). Zazwyczaj tłumaczy się to jako „Państwo niewolnicze", ale jak się zdaje cały *witz* polega na tym, że *nie* chodzi w ścisłym sensie o niewolnictwo.

Nawet dziś, gdyby jakaś gazeta sprzeciwiła się woli narodu w sprawie trwającej wojny, zrujnowałaby się, te zaś wydawnictwa, które w 1914 wsparły gabinetową intrygę mającą na celu doprowadzić Anglię do porzucenia jej sprzymierzeńców zaraz na początku konfliktu, zostały od tego czasu zmuszone do odszczekania każdego słowa.

Jako iż siła właściciela gazety leży w jego zdolności do oszukiwania opinii publicznej i do ukrywania bądź ujawniania rzeczy niejawnych wedle woli: ta moc przeraża zawodowych polityków, nominalnie sprawujących władzę; słowem, właściciel gazety kontroluje zawodowego polityka, ponieważ może go szantażować i tak też czyni, szczególnie w związku ze sprawami życia prywatnego. Jeżeli jednak nie ma za sobą szerokiego grona odbiorców, możliwość szantażu przestaje istnieć; szerokie grono odbiorców (to znaczy: dużą sprzedaż) może zaś mieć za sobą wyłącznie jeśli pisze o rzeczach, które są ogólnie interesujące – a czasem wręcz przypochlebia się potencjalnym czytelnikom sugestiami, jakoby jego gazeta nie zawierała żadnych nowych opinii, a tylko odzwierciedlała opinie większości społeczeństwa.

Siła prasy nie jest bezpośrednia i jawna. Opiera się na sztuce oszustwa; żadne oszustwo zaś nie może się udać, jeśli cynik przekroczy pewne granice cynizmu.

Musimy, zatem, strzec się przed pojęciem jakoby nowoczesna kapitalistyczna prasa stanowiła *wyłącznie* środek rozpowszechniania takich wiadomości, jakie odpowiadałyby jej właścicielom, czy takich opinii, jakie oni mają bądź chcieliby mieć. Podobny osąd byłby fanatyczny, a więc i bezwartościowy.

Nas interesuje tutaj *stopień w* jakim wiadomości można wyciszać lub okrajać, konkretną dyskusję o dobru powszechnym stłumić, spontaniczną opinię zbojkotować, sztuczną – wytworzyć.

VIII

Powiedziałem, że interesuje nas tutaj kwestia stopnia. Pewien filozof powiedział: „Wszystko to kwestia stopnia; a kto umie określić stopień?" Sądzę jednak, że zgadzamy się – i przez „my" rozumiem wszystkich wykształconych ludzi z pewną znajomością świata, który nas otacza – że stopień, który praktyki wyciszania prawdy, propagacji fałszu, sztucznego wytwarzania opinii i bojkotu niewygodnych doktryn osiągnęły dotąd w wielkiej prasie kapitalistycznej, jest co najmniej niebezpiecznie wysoki.

Nie ma żadnego uczestnika życia publicznego, który nie potrafiłby podać z własnego doświadczenia z tuzin przykładów zupełnie rozsądnych listów do prasy, cytujących niepodważalne świadectwa dotyczące rzeczy o pierwszorzędnym znaczeniu, których zdecydowano się nie publikować. Wewnątrz dziennikarskiego cechu nie znajdzie się ani jedna osoba, która nie umiałaby podać setek przykładów sytuacji, w których jego pracodawcy rozmyślnie tuszowali prawdę albo propagowali fałsz, zarówno w sferze ważnych dla narodu wiadomości jak i szeroko oddziałujących opinii.

Równie ważna co sama liczbowa akumulacja podobnych wypadków jest ich jakość.

Pozwolę sobie podać kilka przykładów. Żaden prosty, zdroworozsądkowy, *prawdziwy* opis jakiegoś zawodowego polityka – jego manier, zdolności, sposobu mówienia, inteligencji – nie pojawia się dzisiaj w wielkich gazetach. Nie wolno nam zbliżyć się nawet na tysiąc mil do tego, co *mówią o* zawodowych politykach ci, którzy naprawdę mają z nimi styczność.

Rzeczywiście, dawno już minął czas gdy zawodowych polityków traktowało się jak boskie istoty, które należy czcić popełnianiem rytualnych, niezdarnych opisów prasowych. Substytutem jest tutaj wszakże ledwie bardziej groteskowa metoda stawiania ich na świeczniku – mająca znacznie mniej godności i równie fałszywa.

Nie możemy nawet powiedzieć, że współcześnie zawodowi politycy stawiani są nadal „w centrum sceny". Niniejsza metafora jest tutaj fałszywa, ponieważ w wypadku prawdziwej sceny publiczność wie, że to tylko gra i *widzi* bohaterów dramatu.

Pozwólmy jakiemukolwiek potrafiącemu myśleć człowiekowi prosto i spokojnie opisać jak to wygląda, gdy przeciętny zawodowy polityk przemawia w Izbie Gmin.

Nie byłby to opis ekscytujący. Prawda nie byłaby tutaj brutalna ani niebezpieczna. Niech pisze spokojnie i prawdziwie. Niech pisze tak, jak codziennie pisze się o tych ludziach w tuzinach prywatnych listów, czy tak, jak prywatnie rozmawiają o nich ich znajomi, niemający potrzeby wyolbrzymiać ich znaczenia, ale opisujący ich takimi, jakimi są. Ledwie kilku spośród potentatów prasowych zdecydowałoby się zdjąć te miernoty ze świecznika i krótko powiedzieć o nich co trzeba, ponieważ władza tych potentatów opiera się dokładnie na tym, że na świeczniku siedzą ich marionetki.

Jeśli choć raz pozwoli się społeczeństwu poznać, jakimi miernotami politycy tak naprawdę są – stracą władzę. Jeśli zaś politycy stracą władzę, to ich panowie również stracą władzę.

Weźmy większą sprawę: klasa średnia i wyższa nigdy nie mogą w czas usłyszeć czegokolwiek z jakiegokolwiek sporu, prowadzącego do strajku czy lokautu[9].

Oto przykład wieści o kapitalnym znaczeniu dla wspólnoty państwowej i dla każdego z nas indywidualnie. Zrozumieć *dlaczego* jakiś wewnętrzny spór w kraju w ogóle się zaczął, to podstawowa konieczność sprawiedliwego osądu obywatelskiego. Nigdy jednak się tego nie dowiadujemy. Podobne zdarzenie jest dla nas zawsze brutalnym ciosem i zawsze rozumie się je kompletnie na opak – ponieważ prasa bojkotuje roszczenia robotników.

Rozmawiałem z tuzinami ludzi w takiej samej sytuacji życiowej jak ja – to znaczy, pracującymi przedstawicielami klasy średniej – o wielkim lokaucie na budowie, który jak się złożyło, zbiegł się w czasie

9 Zamknięcie przedsiębiorstwa i zwolnienie pracowników w celu zmuszenia ich do przyjęcia gorszych warunków pracy (definicja SJP PWN).

z wybuchem wojny. *Ani jeden z nich nie wiedział, że to był lokaut!* Nawet ci nieliczni, którzy rozumieli różnicę między strajkiem a lokautem, wszyscy myśleli, że to był strajk!

I niech nikt nie mówi, że odrażające kłamstwa rozpowszechniane przez prasę co do tej sprawy nie przyniosły żadnych skutków. Robotnicy się poddali, a ich całkowicie sprawiedliwe roszczenia odrzucono, głównie dlatego, że większość klasy średniej, a także *znaczna część proletariatu* pod wpływem błędnych informacji mniemała, że budowlańcy przestali pracować w ramach *strajku*, ze sprzeciwu wobec swojej ówczesnej sytuacji, i uznała takie działanie za rzecz w czasie wojny niemoralną. Nie zdawano sobie sprawy, że prowokatorami byli tutaj nie robotnicy, a panowie, którzy bez żadnego uzasadnienia i z czystej chciwości wyrzucili swoich robotników z pracy, to jest pozbawili ich dostępu do kapitalistycznych zasobów żywności i innych artykułów pierwszej potrzeby. Prasa po prostu nie chciała wydrukować tej kolosalnej prawdy.

Podam następny przykład natury ogólnej.

Cała Anglia niepokoiła się w drugim roku wojny pierwszą podwyżką cen żywności. Nie było człowieka tak bogatego, aby nie odbiła mu się ona na księgach rachunkowych, i dla dziewięciu spośród dziesięciu rodzin stanowiła naczelne zmartwienie tamtej chwili. Nie twierdzę, że wielkie gazety o tym nie pisały – ale *jak* dokładnie o tym pisały? Płomiennie broniąc tego lub tamtego zawodowego polityka; dając mnóstwo chaotycznych rad; i, przede wszystkim, zamieszczając mnóstwo bzdur na temat rzekomo ogromnych zarobków proletariatu. Całą sprawę miesiącami rozmyślnie spychano na boczny tor dopóki z samej rzeczy nie przyciągnęła uwagi społeczeństwa. Każdy z nas jest tutaj świadkiem. Wszyscyśmy to widzieli. Każdy, kto czyta te słowa wie, że są prawdziwe. Pośród stu dziennikarzy piszących podobne kłamstwa nie znalazłby się choćby jeden, który nie odczułby, że z małego, cotygodniowego czeku, stanowiącego jego *własną* pensję, zostaje mu w kieszeni sporo mniej. A jednak, tym ogromnym, istotnym dla całego narodu wydarzeniem prasa z początku w ogóle się nie zajmowała, a kiedy się już nim zajęła – sfałszowała je nie do poznania.

Mógłbym podać jeszcze wiele współczesnych, i być może nieco mniejszych (choć z punktu widzenia starszej moralności bardzo dużych), przykładów tej samej rzeczy. Wszystkie one wykazały w ciągu

tych kilku miesięcy rozżarzonego do białości kryzysu dziejowego, jaki dotknął Anglię, nieudolność i fałsz prasy kapitalistycznej.

Nie jest to także żałosne kwękanie nad różnymi przejawami zła, które są ludzkie i konieczne, a zatem zawsze obecne. Nienawidzę podobnego marnotrawstwa energii, i całym sercem zgadzam się z twierdzeniem wygłoszonym niedawno przez redaktora naczelnego „The New Age"[10], że w czasie takim jak ten, gdy marnowanie czegokolwiek jest nie do usprawiedliwienia, bezpłodne narzekanie to marnotrawstwo *najgorsze* ze wszystkich. Moje narzekanie wszakże, nie jest bezpłodne. Jest owocne. Kapitalistyczna prasa osiągnęła w końcu stan, w którym wypacza każdy osąd. Maleńka oligarchia, która nią steruje, nie ponosi żadnej odpowiedzialności i czuje się bezkarna. Uwierzyła, że może zatuszować każdą prawdę i wmówić ludziom każdy fałsz. Rządzi, i rządzi odrażająco: i rządzi nami w ten sposób właśnie teraz, w samym środku wojny, toczonej na śmierć i życie.

10 Angielski magazyn literacko-społeczny, wydawany w latach 1907-38. Cechował się pluralizmem opinii i promocją uczciwej debaty. Głoszono na nim zarówno pomysły fabiańskie, jak socjalistyczno-syndykalistyczne i dystrybucjonistyczne.

IX

Twierdzę, że garstka kontrolujących gazety potentatów rządzi; i rządzi odrażająco. Mam rację. Robi to jednak, jak wszystkie nowe siły, wyłącznie dzięki sojuszom ze starymi – i zdolności do zrywania ich w odpowiednim momencie: spójrzmy choćby na relacje Harmswortha[11] z politykami. Nowa, rządząca prasa to oligarchia działająca wciąż „ramię w ramię" z nieco tylko mniej nową oligarchią parlamentarną.

Ten związek wytworzył w wielkiej prasie kapitalistycznej pewną cechę, którą najlepiej oddać można terminem „oficjalność".

W pewnych formach dowolnego rządu kontynentalnej Europy ministrowie korzystali kiedyś z rzadkich i starannie wyselekcjonowanych gazet jako środków wyrazu swoich opinii i gazety owe zwykło się nazywać „prasą oficjalną". Była to prymitywna metoda, i dawno już zarzucono ją nawet w prostszych, despotycznych formach rządu. Dzisiaj, w warunkach znacznie głębszego zepsucia współczesnej Europy nic podobnego, rzecz jasna, nie istnieje – a na pewno nie w Anglii.

To, co wyrosło na ich miejscu, to prasowy system wsparcia i faworytyzmu w stosunku do zawodowych polityków, grający dzisiaj w całej wielkiej prasie kapitalistycznej w Anglii pierwsze skrzypce. Nadaje to naszym gazetom tak wyraźne znamię parlamentarnego fałszu – i to fałszu dyktowanego związkami z władzą wykonawczą – że jak najbardziej podpadają one pod termin „oficjalne".

Reżim pod którym obecnie żyjemy to plutokracja, która stopniowo zastąpiła starą angielską tradycję arystokratyczną. Plutokracja owa – nieliczna grupa bardzo zamożnych posiadaczy – częściowo kontroluje klasę zawodowych polityków, częściowo z nią współpracuje, a częściowo się z nią pokrywa, mając w prasie kapitalistycznej sojusznika podobnego „prasie oficjalnej", znanej w przeszłości narodom kontynentu. Zachodzi tutaj jednak poważna różnica, bo kontynentalna „prasa oficjalna" składała się zawsze z nie więcej niż kilku specjalnie dobranych organów, których funkcja była powszechnie znana, i których ogólna linia

11 Alfred Harmsworth (1865-1922) – angielski arystokrata, magnat prasowy, jeden z pionierów dziennikarstwa brukowego, posiadający w swoim czasie ogromny wpływ na angielską opinię publiczną.

zasadniczo wyróżniała się na tle innych gazet. Ale *nasza* „prasa oficjalna" (bo to nic innego) to cała prasa w ogóle. Pośród gazet wielkonakładowych zwyczajnie nie ma konkurentów; istotnie, nie ma w ogóle żadnych konkurentów z wyjątkiem małej grupy organów naprawdę wolnej prasy, o której powiem kilka słów za moment i która jako jedyna się jej dzisiaj sprzeciwia.

Jeżeli ktoś wątpi, czy przymiotnik „oficjalna" można zasadnie stosować do współczesnej prasy kapitalistycznej, niech spyta sam siebie, po pierwsze, jakie siły rządzą dziś naszym narodem i, po drugie, czy nawet w systemie permanentnej cenzury siły owe – ten rząd lub reżim – nie miałyby się przypadkiem gorzej, niż teraz, w warunkach stwarzanych im przez wielkonakładowe gazety codzienne Londynu i najważniejszych stolic prowincji?

Czyż reżim nie tuszuje wszystkiego, co chce zatuszować? Czyż nie wmawia ludziom wszystkiego, co chce im wmówić? Czy istnieje choć jedna kwestia publiczna mogąca stanowić zagrożenie dla tego reżimu, o której wolno byłoby dyskutować na łamach wielkich kapitalistycznych dzienników?

Od przeszło dwudziestu lat nie było podobnego przypadku. Obecna symulakra krytyki, przeprowadzająca na reżim, czy raczej na ten lub inny z jego elementów, pozorowane ataki, nigdy nie zajmuje się sprawami naprawdę ważnymi dla jego prestiżu. Przeciwnie – rozmyślnie rozmywa wszelką istotną debatę, jaka mogłaby rozgorzeć w społeczeństwie ze szczerości przekonań, i myli trop fałszywymi tematami.

Pewna gazeta, nie tak dawno, podniosła wrzask, że w rządzie jest zbyt wielu prawników. Proponowanym remedium miało być zorganizowanie opozycji pod przewodnictwem prawnika.

Inna z kolei bardzo poważnie podeszła do kwestii potajemnych interesów z wrogiem. Miesiącami tuszowała wszystko, cokolwiek mogłoby łączyć się z tą niegodziwością, która miała miejsce zaraz na początku wojny dzięki prywatnym koneksjom pewnego bardzo wpływowego, zawodowego polityka – i nie zamieściła ani jednego komentarza na temat tego, co mówiło się o tej sprawie w Izbie Gmin!

Inna jeszcze wrzeszczy o wyeliminowanie ze spraw wewnętrznych kraju wpływów finansowych wroga, a jednak nie mówi ani słowa na temat audytu tajnych funduszy partyjnych!

Twierdzę, że wielkie gazety codzienne nie tylko posiadają dzisiaj wszystkie te niebezpieczne dla państwa możliwości, które opisałem wyżej, ale że stały się także co do istoty „oficjalne", to jest kłamliwe i zepsute w swoim dyktowanym interesami poparciu dla owego plutokratycznego kompleksu, który obecnie rządzi Anglią. Są równie oficjalne, co wszystkie spośród dworskich organów efemerycznych eksperymentów kontynentu. Całe zło, całe oderwanie od rzeczywistości i cała groźba, jakie wiążą się z istnieniem prasy oficjalnej odciska swe piętno na wielkich dziennikach naszego czasu. Jeśli chodzi o władzę, nie mają niezależności. Tak naprawdę niczego nie krytykują. Służą klice, którą powinny demaskować oraz potępiają i zdradzają generalność – czyli państwo – dla dobra której sowicie opłacani urzędnicy publiczni powinni być pod nieustannym nadzorem i rygorystyczną kontrolą.

Skutek jest taki, że masa Anglików przestała otrzymywać jakiekolwiek informacje na temat tego, jak jest rządzona – albo nawet spodziewać się, że je otrzyma.

Zaczyna ich to nieco niepokoić. Wiedzą, że stara moc wypływająca z obserwowania funkcjonariuszy publicznych wymknęła się im z rąk. Podejrzewają, że powszechnie znane, ogromne zepsucie życia publicznego, szczególnie Izby Gmin, kryje się za murem zmowy milczenia zawiązanej przez tych nielicznych, którzy mogliby ich o nim informować. Póki co wszakże, nie wyszli jeszcze poza etap podejrzeń. Nie zbliżyli się jeszcze ani na krok do odkrycia systemu, według którego działają wielcy potentaci prasowi. Wciąż jeszcze pozwalają się, w znacznej większości, oszukiwać.

Ten przejściowy stan rzeczy (bo mam nadzieję wykazać, że jest on ledwie przejściowy) to ogromne zło. Paczy i wyjaławia informację publiczną. Uniemożliwia sprawiedliwą krytykę funkcjonariuszy publicznych. Przede wszystkim, składa on gigantyczną i całkowicie *wyzutą z odpowiedzialności* władzę w ręce nielicznej grupy zamożnych ludzi – szczególnie najbogatszych i najbardziej pozbawionych skrupułów spośród nich – których bogactwo to ledwie przypadkowy rezultat spekulacji, których pochodzenie jest obrzydliwe, i których osobowości odznaczają się, z reguły, słabością i podłością generowaną przez tego rodzaju sprawy. Spośród podobnych dzieci ulicy tysiące mają pecha i kończą w ulicznym rynsztoku, pół tuzina ma szczęście i dochrapuje się milionów, jeden czy dwóch zaś popada u szczytu kariery w szaleństwo chorobliwej ambicji parweniusza i pragnie kierować państwem. Nawet jeśli tego sortu hazardziści to ludzie znani i odpowiedzialni (tacy zresztą jako zawodowi politycy naprawdę są), ich władza jest ogromnie

niebezpieczna. Dysponując, jak właściciele gazet, możliwością zatajenia dosłownie wszystkiego i nie ponosząc przy tym żadnej odpowiedzialności przed jakimkolwiek organem państwowym, stanowią śmiertelne zagrożenie. Najważniejsi spośród tych ludzi mają obecnie znacznie większą władzę niż jakikolwiek minister. Więcej nawet, to oni, jak już wspomniałem, powołują i odwołują ministrów – i to oni mogą zadecydować w naszej najczarniejszej godzinie o przyszłości narodu.

Każde zaś ludzkie zło natury politycznej, jakie tylko pojawiło się w dziejach (to jest każde zło dotykające państwa i biorące się z ludzkiej woli, a nie z niemożliwych do ujarzmienia sił naturalnych, zewnętrznych wobec człowieka) zawsze kiedyś się kończy i powoduje reakcję.

Dochodzę tutaj do sedna sprawy. Równolegle do tego, co nazwałem „prasą oficjalną" naszej chwiejnej plutokracji, rozwinął się pewien czynnik, na który trudno mi znaleźć dobre określenie, i który z braku innego terminu pozwoliłem sobie nazwać „wolną prasą".

Mógłbym nazwać ją prasą „niezależną", gdyby nie to, że słowo to może kontować współcześnie nieco zbyt dużą siłę – choć wierzę również, że ta siła wzrasta, i że pozwoli jej kiedyś zmienić naszą sytuację.

Nie mam znajomości ani jednego współczesnego języka poza francuskim i angielskim, czytam wszakże ową wolną prasę tak francuską, jak angielską, tak kolonialną, jak amerykańską, regularnie i wydaje mi się ona czołowym zjawiskiem intelektualnym naszych czasów.

Tak we Francji, jak i w Anglii, i – na ile wiem – także wszędzie indziej, w proteście wobec fałszu i zepsucia wielkiej prasy kapitalistycznej społeczeństwa wydały z siebie cały plon nowych organów prasowych, które *są w* jak najściślejszym sensie „organami opinii". Nie muszę nudzić tutaj angielskich czytelników informacjami o skutkach, jakie sytuacja ta wywiera na kontynencie. W Anglii widać je wystarczająco wyraźnie – i dobrze zrobimy, jeśli przyjrzymy się im z odpowiednią uwagą.

„The New Age" była, jak sądzę, pionierem w tej dziedzinie. I ciągle zajmuje w niej poczesne miejsce. Sam założyłem swego czasu „Eye-witness", obracający się mniej więcej wokół takich samych idei (co mówiąc nie mam bynajmniej na myśli takich samych celów propagandy). W Irlandii powstało takich organów więcej niż jeden, w Szkocji jeden czy dwa. Ich liczba będzie wzrastać.

Tym samym przechodzę od demaskacji zła do opisu tego, co dobre.

Chciałbym niniejszym zbadać naturę owego ruchu, który nazwałem „wolną prasą”, przeanalizować bolączki, które go trapią i zakończyć wykładem mojego przekonania, że pomimo wszystkich swych bolączek jest to siła, i to nie tylko siła stale rosnąca, ale także zbawienna i, w pewnym sensie, zwycięska. Proszę więc czytelników, aby skierowali swe myśli ku temu problemowi.

X

Powstanie tego, co nazwałem „wolną prasą" stanowiło reakcję na to, co nazwałem „prasą oficjalną". Niemniej, reakcja owa nie wzięła się z jednego motywu.

Faktycznie stały za nią – i zbiegły się w niej – trzy różne motywy moralne. Dobrze zrobimy rozdzielając je i badając każdy z osobna, bo każdy z nich wywarł wpływ na wolną prasę jako całość, i obecność każdego z nich da się dzisiaj w niej łatwo rozpoznać.

Pierwszym motywem, znacznie wcześniejszym od pozostałych dwóch, była (A) *propaganda.* Drugim – (B) *oburzenie wobec ukrywania prawdy,* trzecim zaś – (C) *oburzenie wobec braku odpowiedzialności rządzących*: poczucie ucisku, powodowane przez niemoralną nieodpowiedzialność u wszystkich tych, którzy mają nieszczęście odczuwać jej władzę.

Zajmijmy się nimi po kolei.

XI

„A”

W motywie propagandy (który zaczął oddziaływać tutaj najwcześniej) chodziło o religię, a także o pewien plemienny entuzjazm i doktryny polityczne, które – dzięki swojej szczerości i gotowości do poświęceń – miały pewną namiastkę religijnej mocy.

Przekonano się, że wielkie gazety (na ostatnim etapie swego rozwoju) nie chciały mówić o czymkolwiek, co byłoby z punktu widzenia religii naprawdę istotne. Nie ośmielały się na nic innego poza dyskretnym powtarzaniem w kółko tych samych komunałów etycznych. A i to z ledwością. Przyjmowały bezrefleksyjnie, że większość ludzi zapatruje się na tę sprawę kompletnie bez ducha. Godziły się, aby pewien wpływ wywierała na nie religia dominująca w kraju, w którym je drukowano – i na tym koniec.

Wielkie rzesze ludzkie, płonące wielką gorliwością o pewną określoną doktrynę zorientowały się, że nie ma ona dla siebie wyrazu w przestrzeni publicznej, nawet jeśli (jak we Francji) ciągle stanowi religię znacznej większości społeczeństwa. „Organy opinii” przejawiały w sprawie idei najpowszechniejszej, najpłomienniej wyznawanej i najbardziej formatywnej ledwie pańską ignorancję. Nie mogło wyglądać to inaczej także w wypadku kapitalistycznych przedsiębiorstw, ukierunkowanych nie na konwersję, nie na ekspresję nawet, ale tylko na zysk. Nie było niczego, co pozwalałoby odróżnić wielkonakładową gazetę codzienną należącą do Żyda od tej należącej do agnostyka czy katolika. Konieczność znalezienia wyrazu wymusiła stworzenie wolnej prasy właśnie w związku z tym motywem religijnym.

W Anglii bardzo rzadko spotykało się podobne wypadki, ponieważ Anglia przez bardzo długi czas pozostawała co do religii właściwie homogeniczna, i w latach powstawania wolnej prasy religia ta nie odznaczała się do tego szczególnym entuzjazmem. Wszakże organy wolnej prasy mające za cel bronić religii (pionierskie w stosunku do wolnej prasy w ogóle) powstawały w Irlandii, we Francji, i w wielu innych miejscach. Z początku nie wchodziła ona z wielką, oficjalna prasą kapitalizmu w żadne konflikty. Przyjmowała bez protestu wszystkie te bezbolesne i bezsensowne uwagi na temat religii, jakie pojawiały się

mimochodem w prasie oficjalnej, uznając wszakże za konieczne podkreślać specjalnie własny punkt widzenia w osobnych rubrykach: bo religia ma wpływ na całe życie człowieka.

Ten sam motyw natury propagandowej stał za założeniem innych jeszcze gazet, broniących entuzjazmu innego, niż ściśle religijny, który najwyższe natężenie osiągnął na pewno w wypadku kolektywizmu-socjalizmu.

Pokolenie temu i jeszcze nieco wcześniej, wielkie mnóstwo ludzi dało się przekonać, że właściwe rozwiązanie niezwykle złożonych problemów społecznych stanowi to, co nazywano „nacjonalizacją środków produkcji, dystrybucji i wymiany dóbr". To jest, rzecz jasna – i w prostej angielszczyźnie – przekazanie ziemi, domów, maszynerii oraz zapasów żywności i ubrań w ręce polityków, aby kontrolowali ich użytkowanie i regulowali ich konsumpcję.

Doktrynę tę wyznawali z płomiennym zapałem ludzie najwyższych zdolności z każdego zakątka Europy; zaraz zaczęła powstawać także prasa socjalistyczna, wszędzie wolna, i wszędzie szybko urastająca do rangi opozycji w stosunku do prasy oficjalnej. Równolegle zaczęły pojawiać się (religijne w swoich metodach segregacji, przekonaniach i entuzjazmie) także małe organy prasowe broniące praw uciskanych narodów (przynajmniej wtedy, gdy uciskający przejawiał pewną łagodność).

Religia zatem, i pokrewnej natury entuzjazmy, stanowiły pierwsze źródła wolnej prasy.

Rozpoznanie tego jest niezwykle istotne, ponieważ to właśnie nadało całemu temu ruchowi szczególny charakter, o którym powiem nieco później, gdy przejdę do bolączek.

Motyw propagandowy, powtarzam, z początku nie wiązał się ze świadomością, że w prasie wielkiej bądź oficjalnej, obok której zaczęła powstawać prasa wolna, jest coś niegodziwego. Veuillot[12], zakładając swoją cudownie waleczną gazetę, niespodziewanie odgrywającą we Francji tak nadzwyczajną rolę, nie czuł

12 Ludwik Veuillot (1813-1883) – francuski pisarz i dziennikarz, popularyzator ultramontanizmu. W 1883 roku założył „L'Univers", o którym Belloc pisze.

żadnej specjalnej wrogości w stosunku choćby do takiego „Debats”[13]; traktował on swój katolicki entuzjazm jako coś wyjątkowego i bez protestów akceptował swoją skromną czy w każdym razie podrzędną pozycję, konotowaną przez świadomy ekscentryzm. „Później” owi pionierzy wolnej prasy zdawali się mówić, „będziemy mogli przekonać masy do naszych poglądów, niemniej teraz jesteśmy po prostu mniejszością: wspólnotą wyjątkową, ze wszystkimi tego konsekwencjami”. Mówili to pomimo że całe życie Francji to rzecz przynajmniej równie katolicka, co Wielkiej Brytanii – plutokratyczna, czy Szwajcarii – demokratyczna. Mówili tak dokładnie dlatego, że pojawili się na świecie *po tym* jak prasa kapitalistyczna (neutralna w kwestiach religii podobnie jak we wszystkich innych istotnych sprawach) opanowała wszystkie sfery życia.

Pierwsi propagandyści nie byli zatem z prasą kapitalistyczną na równej stopie. Weszli na scenę nieśmiało, jako ludzie niższej pozycji, czy może raczej jawni ekscentrycy. Bo Anglia wiktoriańska i Trzecie Cesarstwo fałszywie utrzymywały, że prasa oficjalna ma charakter „reprezentatywny”.

Prasa socjalistyczna była pierwszą, która stanęła do walki z gigantami jak równy z równym – i zawsze będzie to wielką chlubą ruchu socjalistycznego.

Pamiętam, jak chłopcem będąc czułem się lekko zszokowany, i poniekąd oszołomiony, widząc w gazetach socjalistycznych typu „Justice” odwołania do tytułów takich jak „Daily Telegraph” czy „Times” z epitetem „kapitalistyczny” umieszczonym zaraz po nich w nawiasie. Wtedy myślałem, że to używanie nienormalnego epitetu na określenie całkiem normalnej rzeczy; teraz wszakże wiem, że te małe i wolne gazety socjalistyczne zachowywały po prostu najzwyklejszy zdrowy rozsądek podkreślając, że fałsze i zatajenia ich wielkich konkurentów są właśnie *kapitalistyczne*. Z socjalistycznego punktu widzenia, najważniejszy fakt związany z nieuczciwością wielkich periodyków oficjalnych stanowiło to, że to nieuczciwość kapitalistycznej natury; dokładnie tak jak z katolickiego punktu widzenia najważniejsze jest to, że gazety te były – i są – antykatolickie.

I choć część wolnej prasy socjalistycznej z wielką śmiałością działała w poczuciu moralnej równości z kapitalistyczną konkurencją, było to mimo wszystko nastawienie wyjątkowe. Większość wydawców

13 Wł. „Journal de debats”, czołowe francuskie pismo polityczne, wielokrotnie zmieniające stronę, w zależności do tego, kto akurat rządził. Wydawano je nawet za okupacji hitlerowskiej.

i właścicieli wolnej prasy, a także większość jej autorów, z początku przyjęło najbardziej wtedy powszechny punkt widzenia i uznało, że wielkie gazety są w gruncie rzeczy nieszkodliwe i uczciwie oddają opinię powszechną, w związku z czym nie należy ich w jakiś szczególny sposób zwalczać.

Wielkie dzienniki uważano za szare; nie niegodziwe – tylko mówiące ogólnie i niejasno. Wolna prasa u swego zarania nie atakowała jej z pozycji wroga. Nieśmiało prosiła, aby ktoś ją usłyszał. *Uważała się* za „coś specjalnego". Była pokorna. I naprawdę towarzyszyła jej masa ekscentryzmów.

Jeżeli przejrzy się wszystkie wydawnictwa wolnej prasy jakie założono we Francji i Anglii wyłącznie z motywów propagandowych, natknie się na mnóstwo „dodatków", towarzyszących głównym tematom religii, patriotyzmu czy przekonań socjalistycznych. Mamy, na przykład, jak Europa długa i szeroka, bardzo przekonujące i znakomicie napisane periodyki antysemickie, spośród których „Libre Parole" Durmonta[14] długo było absolutnie najlepsze. Mamy gazety promujące pomysł jednolitego podatku. Mamy gazety propagujące abstynencję – i istotnie, to prawdziwa zagadka dlaczego za pisanie nie wzięli się jeszcze na przykład ikonoklaści czy sataniści. Propagandę racjonalistyczną i ateistyczną liczę między przejawy propagandy religijnej.

Możemy zatem przyjąć, że propaganda stanowiła, w porządku czasu, pierwszy motyw wolnej prasy i pierwszą przyczynę jej publikacji.

Z tego faktu bierze się niezwykle istotna dla tematu refleksja. Propagandystyczna geneza wolnej prasy obarczyła ją szczególnym brzemieniem, które nadal dźwiga i będzie dźwigać dopóty, dopóki nie uda jej się poprawić, a być może zniszczyć, prasy oficjalnej, do czego powrócę jeszcze na następnych stronach.

Chodzi mi o to, że wolna prasa obarczyła się brzemieniem *chaotycznego partykularyzmu*.

---

14 Edward Adolf Durmont (1844-1917) – francuski pisarz, dziennikarz i satyryk, założyciel Antysemickiej Ligi Francji (1889), antydreyfusista, jeden z głównych ekspozytorów skandalu panamskiego (afery korupcyjnej wybuchłej we Francji w 1892, stanowiącej zresztą pierwszy ważny „temat" gazety Durmonta, założonej również w 1892 roku). „Libre Parole" to antysemickie pismo satyryczne, zajmujące się zwalczaniem wpływów żydowskich w polityce francuskiej, ale także ogólniej agitacją przeciwko plutokratycznym koteriom polityczno-biznesowym (stąd kwestia Panamy). Po śmierci Durmonta, którego nawet przeciwnicy uważają za znakomitego stylistę, pismo upadło w roku 1924.

Gdziekolwiek się udam, pierwsze co robię, jeśli chcę poznać prawdę, to biorę do rąk jakiś organ wolnej prasy, czy to we Francji, czy w Anglii, czy nawet w Ameryce. Wiem wszakże, że każdy taki organ nieodmiennie będzie naznaczony opiniami, czy nawet fanatyzmem, jakieś mniejszości. Wolna prasa, jako całość, jeśli się ją posumuje i poodejmuje wszystkie przeczące sobie, wyolbrzymione tezy, naprawdę zapewnia czytelnikowi prawdziwy obraz społeczeństwa, w którym żyjemy. Prasa oficjalna wszędzie zapewnia nam dzisiaj ledwie absurdalny fałsz. Jakąż karykaturę – i jakąż podłą, pustą karykaturę – Anglii, Francji czy Włoch oferują nam dzisiaj „Times", „Manchester Guardian", „Matin"[15] czy „Tribune"[16]! Żadna z tych gazet nie mówi w żadnym uczciwym sensie w sposób ogólny – i żadna nie jest naprawdę narodowa.

Wolna prasa mówi prawdę; ale tylko wyrywkami, jako iż jest zarówno *chaotyczna* jak *partykularystyczna*: cechuje ją izolacja – dlatego, że wzięła się z różnorodnych i bogatych przejawów propagandy; ponieważ powstała później niż kapitalistyczna prasa oficjalna i stanowiła, w swojej genezie, ledwie reakcję przeciwko niej.

„B"

Motyw drugi, oburzenie wobec *rozpowszechniania fałszu,* pojawił się znacznie później niż propaganda.

Ludzie stopniowo zaczęli zdawać sobie sprawę, że sprawy bardzo istotne z punktu widzenia interesu publicznego, a czasami wręcz z tego punktu widzenia kluczowe, były w wielkonakładowych gazetach oficjalnych rozmyślnie tuszowane, i że coraz częściej otwarcie podsuwało się w nich ludziom, czy też wprost propagowało, najzwyklejszy fałsz.

To nie wszystko. Przez długi czas *właściciel* gazety zadowalał się postrzeganiem jej w kategoriach generatora przychodów. W sprawach kultury i opinii decydował *redaktor naczelny.* Prawda, że naczelny,

15 „Le Matin", francuska gazeta założona w 1884 roku (żeby było śmieszniej z inicjatywy koncernów amerykańskich). Przed II WŚ popadała w coraz zacieklejszy antyparlamentaryzm, aby pod okupacją oficjalnie przejść na stronę kolaborantów. Zlikwidowana w 1944.

16 Prawdopodobnie chodzi o „Italian Tribune", pismo włoskiej imigracji w USA, publikowane od 1909 roku.

człowiek ubogi i do zastąpienia, nie mógł rościć sobie tytułu do pełnej siły politycznej. Było to jednak coś w rodzaju umowy dwustronnej, ograniczającej przynajmniej siłę wulgarnego potentata.

Samemu pamiętam jeszcze ten stan rzeczy: naczelnego – jadającego na mieście gentlemana i właściciela – lorda ogromnie stremowanego przy każdym spotkaniu z gentlemanem. Zmieniło się to w latach dziewięćdziesiątych albo późnych osiemdziesiątych, ubiegłego wieku. Na początku wieku XX, całkowicie znikło.

Redaktor naczelny przeobraził się w zwykłą tubę właściciela – i ciągle nią jest. Wymiana naczelnych zaczęła następować bardzo szybko. W przypadku współczesnych gazet wielkonakładowych, imię naczelnego zna się bardzo rzadko – ale zupełnie inaczej wygląda to w wypadku ministra, któremu nie udało się przejść próby życia, przywar, słabości, fortuny, inwestycji i przychylności ich właścicieli. Pogodzono się z tą zmianą bardzo szybko. Dokonała się błyskawicznie, ale skutecznie. Aż wreszcie – jak większość szybkich zmian – przerosła samą siebie.

Potentaci prasowi zaczęli przechwalać się swoją władzą publicznie, jak czymś powszechnie akceptowanym; i władzę tę dostrzeżono i gdy rosła w miarę upływu czasu i dzięki nowym eksperymentom, wywołała reakcję.

Dlaczego ten lub inny prostak (zaczęto pytać) miałby dzierżyć władzę utrzymywania ludzi w ignorancji co do spraw dla nas wszystkich najistotniejszych – i jeszcze się tym chwalić? Mącić, kłamać? Prosta konieczność powiedzenia na głos pewnych prawd, których owi potężni, lecz ukrywający się jegomoście powiedzieć nie chcieli, była siłą z ogromnym potencjałem, niemalże wymuszającą wydawanie prasy wolnej równolegle do oficjalnej. Dlatego też wolną prasą prawie zawsze kierują ludzie wielkiej inteligencji i kultury – *wyjątkowej* inteligencji i kultury. To właśnie odróżnia ich od większości ich przeciwników.

„C"

Niedługo później wszakże, obok tego drugiego motywu oburzenia na rozpowszechnianie fałszu, pojawił się, oddziałujący z równą siłą (choć na mniejszą liczbę ludzi) motyw *wolności*: motyw oburzenia wobec *samowoli władzy*.

Dla tych, którzy wiedzieli, w jaki sposób się nami dzisiaj rządzi, i którzy zorientowali się, szczególnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat, że wielkie gazety staną się niedługo potężniejsze niż jawna i odpowiadająca przed prawem (pomimo całego swego zepsucia) egzekutywa państwowa, sytuacja stała się nie do przyjęcia.

Czymś wystarczająco złym jest być rządzonym przez monarchę czy arystokrację, których władza opiera się tylko na pewnej legendzie krążącej wśród ludu; dosyć poniżające – być rządzonym w ten sposób, przy pomocy swego rodzaju teatrzyku, zamiast cieszyć się samorządnością ludzi wolnych.

Czymś jeszcze gorszym – być rządzonym przez klikę zawodowych polityków, kantujących masy pod pozorami „demokracji".

Czymś nie do zniesienia wszakże jest perspektywa, że podobna władza mogłaby dostać się w ręce tajemniczych „panów Nikt", co do których nie można by mieć nawet jakichkolwiek iluzji, których tyrania nie jest w żadnym stopniu akceptowana czy nawet publiczna, którzy nie zdobędą się choćby na tyle ryzyka, by ujawnić swoje dane i których nie da się pociągnąć do żadnej odpowiedzialności.

Znajomość sytuacji dostarczyła trzeciego, najistotniejszego być może, motywu stworzenia wolnej prasy.

Niestety, znać ją mogła ledwie garstka ludzi. Nawet w wypadku masy osób dobrze wykształconych i bystrych uczucia co do gazet wielkonakładowych osiągały w porywach najwyżej poziom lekkiego niepokoju. Mieli oni ogólne pojęcie, że właściciel poczytnego dziennika może szantażować zawodowych polityków; tworzyć bądź niszczyć ich kariery, stawiając ich na świeczniku bądź ich z niego zdejmując; dymisjonować rządy; nominować absurdalnych ministrów; i że często z tych możliwości korzysta.

Ale szczegółowe, jasne, konkretne przypadki, które mają największą moc pchnąć ludzi do działania, pozostawały przed nimi ukryte. Jedynie bardzo niewielka grupa miała znajomość tych szczegółowych prawd. Niemniej, ta niewielka grupa wiedziała bardzo dobrze, że w rzeczywistości rządzą nami ludzie nieodpowiadający przed nikim i ukryci przed opinią publiczną, która mogłaby ich oskarżać. Determinacja do pozbycia się tego sekretnego monopolu na władzę wymusiła reakcję: i reakcją ową była wolna prasa.

XII

Ustaliwszy, jakie były główne motywy powstania i działania wolnej prasy we wszystkich krajach, szczególnie wszakże we Francji i Anglii, gdzie zło prasy kapitalistycznej (bądź oficjalnej) osiągnęło najgorsze formy, przejdźmy do rozważenia bolączek tę reakcję – wolną prasę – trapiących.

Sądzę, że bolączki owe można zebrać w cztery grupy.

(1) Po pierwsze, wolne wydawnictwa cierpiały na tym, na czym cierpią wszyscy reformatorzy świata – że musiały iść pod prąd.

(2) Po drugie, cierpiały z powodu swojego partykularyzmu czy „dziwności", stanowiących konieczny skutek ich propagandowego charakteru.

(3) Po trzecie – i najważniejsze – cierpiały ekonomicznie. Nie były w stanie dostarczyć czytelnikom wszystkiego, czego spodziewali się oni za taką cenę. Działo się tak dlatego, że odmawiały dotacji reklamowych i były bojkotowane.

(4) Po czwarte, z przyczyn, które za moment staną się jasne, z braku informacji.

Do tych czterech podstawowych bolączek wolna prasa w *tym* kraju dodała piątą, sobie tylko właściwą; zagrażało im samodzierżawie politycznych prawników.

Przyjrzyjmy się najpierw czterem punktom głównym. Gdy je zbadamy, zobaczymy przeciwko jakim siłom i pomimo jakich niesprzyjających czynników, stworzono współcześnie wolną prasę.

„1”

Twierdzę, że jako siła reformatorska wolna prasa cierpiała po pierwsze z tego względu, z jakiego cierpieć muszą niezmiennie wszyscy reformatorzy, to znaczy: dlatego, że w swoich początkach z konieczności szła pod prąd.

Gdy wolna prasa pojawiła się na świecie, ludzie zdążyli się już do otaczającej ją oficjalnej prasy kapitalistycznej przyzwyczaić. Przez spory kawałek czasu czytali gazetę codzienną nawykowo; z nawyku wierząc w to, co podawała im jako fakty i w większym stopniu nawet przyjmując jej opinie. Nowy głos, w implikacjach krytykujący, czy też wprost wyśmiewający, podobne nawyki, z konieczności nie cieszył się u większości czytelników szczególną popularnością – jeśli zaś nie był niepopularny, to tylko dlatego, że był niesłyszalny.

Ta pierwsza bolączka, na której wolna prasa cierpiała i wciąż cierpi, w naturalnych warunkach nie trapiłaby jej zbyt długo. Pozostałe trzy były znacznie poważniejsze. Bo zwykła inercja czy przeciwprąd z którymi zmaga się każdy reformator, ostatecznie zawsze udaje się przemóc, szczególnie jeśli rzeczony reformator (jak w tym wypadku) robi i mówi rzeczy, z którymi większość ludzi, gdyby mieli równie wiele informacji co on, na pewno by się zgodziła. Z bolączkami (2) partykularyzmu, (3) ubóstwa i (4) niewystarczalności (do których dodaję jeszcze w Anglii kłopoty ze strony politycznych prawników) wyglądało to inaczej.

„2”

Partykularyzm wolnej prasy stanowił poważną i trwałą bolączkę, towarzyszącą jej do naszych czasów. Dzisiaj każdy dobrze poinformowany człowiek, który pragnie wybadać co tak naprawdę dzieje się na świecie, czyta wolną prasę; musi jednak, jak już wspomniałem, czytać ją całą i składać ze sobą różne sekcje, jeśli pragnie złapać jakąś orientację. Każdy konkretny organ zapewnia mu jednostkową wersję zdarzeń, z ogólnego punktu widzenia ekscentryczną, a czasem wysoce ekscentryczną.

Jeśli chcę, na przykład, dowiedzieć się, co się dzieje we Francji, czytam żydowsko-socjalistyczną „Humanite"; najradykalniejsze gazety rewolucyjne typu „La Guerre Sociale"; rojalistyczną „Action Francaise"; antysemickie „Libre Parole" i tak dalej.

Jeśli chcę poznać, co się dzieje w Irlandii, nie tylko kupuję różne irlandzkie gazety małonakładowe (a są one bardzo liczne), ale także „The New Age", „New Witness"; i tak dalej, patrząc, które kwestie są naprawdę ważne i interesujące. Pojęcie jednak, które sobie wyrabiam, to rzecz złożona. Tę samą prawdę podkreśla się w różnych gazetach z bardzo różnych powodów.

Weźmy Aferę Marconi. Wielkie gazety oficjalne bojkotowały ją miesiącami, a potem napisały stek głupich kłamstw w obronie polityków. W wolnej prasie dało się wyczytać prawdę, ale pisano ją w niej z bardzo różnych powodów i z wielu różnych perspektyw. Dla niektórych gazet irlandzkich Afera Marconi była ledwie epizodem komicznym, „dokładnie takim, jakiego można by się spodziewać po Westminsterze"; inne drżały, że może ona obniżyć wartość pozostających w rękach Irlandczyków akcji firmy Marconi. „The New Age" patrzyła na nią z zupełnie innego punktu widzenia niż „New Witness", pisma specyficznie socjalistyczne zaś wykazywały, że to ledwie prosty przykład normalnych praktyk rządów kapitalistycznych.

Gazeta mahometańska bez wątpienia napisałaby, że to skutek religii nazarejskiej, a gazeta redagowana przez thugów[17] – brzydki przykład tego, co się dzieje, kiedy krajowi politycy nie są thugami.

Chodzi mi zatem o to, że wolna prasa, wychodząc z tak wielu partykularnych stanowisk, nie wydała jeszcze organu opinii ogólnej; co mówiąc mam na myśli, że nie wydała jeszcze organu opinii, który inspirowałby porozumienie znaczniejszej liczby ludzi, gdyby ludzie ci zechcieli się dowiedzieć w jaki sposób naprawdę się nami rządzi.

Durmont bardzo się przydał, dostarczając nam niezliczonych szczegółów prawdy, o których prasa oficjalna nawet się nie zająknęła – jako choćby o tym, jak Rothschildowie okantowali rząd francuski w sprawie podatku spadkowego od nieruchomości w Paryżu kilka lat temu. Istotnie, to on ostatecznie

17 Hinduskie bractwo religijne, zajmujące się rytualnym okradaniem oraz mordowaniem podróżnych (z naciskiem na to drugie). Zazwyczaj praktyki te motywowano kultem bogini Kali. Zlikwidowane przez brytyjską administrację kolonialną w drugiej połowie XIX wieku.

wydarł im te pieniądze z gardeł, i była to świetna robota. Ale kiedy przeszedł do argumentowania, że kanciarstwo w sprawach finansowych to rzecz czysto żydowska, nie potrafił pociągnąć za sobą większości ludzi – bo to zwykły nonsens.

Karol Maurras to jeden z najświetniejszych żyjących pisarzy, i kiedy wykazuje na łamach „Action Francaise", że francuski Sąd Najwyższy pod koniec afery Dreyfusa złamał prawo, robi rzecz pożyteczną, bo mówi prawdę o sprawie niezwykłej doniosłości publicznej. Kiedy wszakże przechodzi do udowadniania, że coś takiego nigdy nie zdarzyłoby się w ustroju nominalnie monarchicznym, gada bzdury. Każdy z minimum doświadczenia co do tego, jak w warunkach monarchii nominalnej potrafią działać sądy, wzrusza ramionami i mówi, że działania Maurrasa mogą przynosić znakomite owoce, ale proponowane remedium, czyli ustanowienie we Francji, w miejsce bardzo skorumpowanego parlamentu, jednego z tych nowoczesnych królestw udzielnych, to rzecz średnio przekonująca.

„New Republic"[18] z Nowego Jorku płomiennie broni Brandeisa[19], dlatego że Brandeis jest Żydem, a „New Republic" (którą czytałem kiedyś regularnie, i która dzisiaj jest nie do przeceniania jako instrukcja na temat małej, zamożnej mniejszości amerykańskiej opinii) jest prożydowska. Obrona Brandeisa to dla mnie rzecz interesująca i pouczająca. Kiedy wszakże „New Republic" drukuje pacyfistyczną propagandę Brailsforda[20] czy wychwala Lane'a jako „normańskiego anioła"[21], to – w mojej opinii – postępuje ekscentrycznie i pogardy godnie. „New Ireland"[22] pomaga mi zrozumieć spór młodszego pokolenia

---

18 Założony w 1914 roku magazyn polityczny o wymowie liberalnej i „postępowej". W okresie międzywojennym magazyn ciepło pisał o ZSRR i panu Stalinie („Mądrość Stalina, rzeka szeroka, w ciężkich turbinach przetacza wody..." pisał Ważyk…).

19 Prawdopodobnie chodzi o Ludwika Dembitza Brendeisa (1856-1941) – amerykańsko-żydowskiego prawnika, pierwszego żydowskiego sędziego Sądu Najwyższego USA. Nominowany w 1916 przez Wilsona, miał wielu wrogów, którzy nie mogli pogodzić się z tą sytuacją (dziś jest oceniany wybitnie pozytywnie, daj Boże słusznie).

20 Henryk Noel Brailsford (1873-1958) – wpływowy angielski dziennikarz lewicowy, pacyfista, zwolennik ZSRR, „nawrócony" na zdrowy rozsądek (a i to niezupełnie) dopiero po sowieckiej inwazji na Finlandię (czyli nie na Polskę? Ciekawe…).

21 Sir Ralf „Normański Anioł" Lane (1872-1967) – angielski dziennikarz, pisarz, działacz socjalistyczny. Podczas I WŚ często zmieniał zdanie co do konfliktu i miotał się od pacyfizmu do zdrowego rozsądku. Przed drugą zmienił nastawienie i dostrzegł niewystarczalność polityki świętego spokoju.

22 Irlandzki tygodnik nacjonalistyczny publikowany w latach 1915-22. Z czasem zaczął skłaniać się coraz bardziej w stronę Sinn Fein.

Irlandczyków z Irlandzką Partią Parlamentarną[23] – muszę wszakże, i tak też czynię, zawsze uzupełnić to lekturą pisma „Freeman"[24].

Słowem, wolna prasa z całego świata, na ile mogę coś o tym wiedzieć, cierpi właśnie z powodu tego partykularystycznego charakteru, a zatem – izolacji i nerwowości. Nie ma oddziaływania ogólnego.

Do niniejszej bolączki dołącza się także i to, że wolna prasa opiera się zasadniczo na jednostkach, a zatem nie może stać się instytucją. Trudno przewidzieć, ile spośród wymienionych przeze mnie gazet umiałoby przetrwać odejście obecnych redaktorów naczelnych. Możliwe, że znalazłby się jeden następca; na pewno jednak nie dwóch; skutkiem czego organy te wywierają wpływ na ludzi sporadycznie i nieregularnie.

W tym samym kontekście pojawia się problem ograniczonego grona odbiorców.

Są tacy ludzie (do których sam się zaliczam), którzy będą czytać cokolwiek, niezależnie od wszelkich różnic opinii, byle tylko zdobyć więcej wiedzy. Nie jestem pewien, czy to zdrowy nawyk. W każdym razie na pewno nieczęsty. Większość czyta wyłącznie to, co przekazując im pewne informacje, przyjmuje za swoją filozofię podobną mniej więcej do ich filozofii. Wolna prasa, zatem, tak długo, jak długo będzie dziełem wielu różnorodnych mniejszości, nie tylko będzie cierpieć ze względu na ograniczone grono odbiorców każdego organu, ale także w związku z koniecznością przekonywania przekonanych. Owszem, zdobywa sobie już pewną grupę odbiorców z zewnątrz, i grupa ta powoli się powiększa, nigdy wszakże nie udaje jej się skupić na sobie większej uwagi społecznej.

„3"

Trzecia grupa bolączek wiąże się, jak pisałem, z ekonomiczną słabością wolnej prasy.

23 Zawiązana w 1874 roku partia irlandzka, której celem było wywalczenie samostanowienia w ramach Imperium Brytyjskiego.

24 „Freeman's Journal", najstarsze irlandzkie pismo nacjonalistyczne, założone w 1763 roku (przestano je wydawać w 1924 i 'wsyśnięto' do „Irish Independent"). Opowiadała się po stronie IP Parlamentarnej i Parnella.

Wolna prasa pozostaje ściśle bojkotowana przez wielkich reklamodawców, częściowo być może dlatego, że jej małe nakłady budzą w nich pogardę (bo prawie wszyscy spośród nich to twardogłowe typy „biznesmenów", którzy przemieszczają się stadami i nigdy nie badają indywidualnie gdzie ich dobra znajdą najlepszy zbyt); lecz w głównej mierze niewątpliwie ze względu na otwartą wrogość do wszelkiej wolnej prasy w ogóle.

Dla przykładu, nie reklamować towarów luksusowych w piśmie mającym trzy tysiące nakładu na tydzień, ale czytanym od deski do deski przez wszystkich zamożnych ludzi Anglii, byłoby u reklamodawcy przejawem najzwyklejszej głupoty; nie byłoby jednak niczym głupim, gdyby nie zamieszczał swoich reklam *tylko w wolnej prasie,* zadbawszy uprzednio, aby znalazły się one wszędzie indziej, nawet w pismach o znacznie mniejszych nakładach.

Bojkot jest rozmyślny i uparcie kontynuowany. Skutek jest taki, że wolna prasa nie może zapewnić w sprawach przejrzystości stron, jakości papieru, poziomu dystrybucji i tak dalej tego, co zapewnia swoim czytelnikom prasa oficjalna; bo nie ma finansowania z reklam. Istotnie, to bolączka ekonomiczna bardzo dużej wagi.

Wolna prasa częściowo otrzymuje dotacje od własnych autorów. Ludzie, którzy zarabiają na pisaniu spore sumy, godzą się czasem pisać do wolnej prasy za bardzo małe stawki, zwykle za darmo; zawsze wszakże dużo poniżej swoich stawek rynkowych. Ale podobny wkład to zawsze rzecz niepewna i, by tak rzec, szarpana. Poza tym, tak się gazety nie zapełni. Prawda, że poziom pisarski wolnej prasy jest znacznie wyższy niż prasy oficjalnej. Na przykład, porównywać notatki informacyjne „The New Age" z tymi ze „Spectator" to coś takiego, jakby odkryć różnicę między swobodną rozmową z równymi sobie, a wymuszoną rozmową ze spotkanym w przedziale pociągu przedstawicielem handlowym. Czytać Shawa czy Wellsa, Gilberta czy Cecyla Chestertonów, czy dwudziestu innych autorów z „New Witness", to w stosunku do standardowej popłuczyny oficjalnych tygodników inny świat. Bojkot jest jednak ścisły, a zatem podaż – nieciągła. Nie chodzi tylko o bojkot reklamowy: tylko o bojkot cytowania. Większość klas rządzących zna wolną prasę. Znaczna część niższej klasy średniej wciąż nie ma pojęcia o jej istnieniu.

Wszystkie okazjonalne artykuły w wolnej prasie odznaczają się podobnie wysoką jakością, ale nie pojawiają się regularnie; poza tym, praktycznie żaden organ wolnej prasy nie potrafi się zwrócić.

Trudności w dystrybucji, o których już wspomniałem, należą do tej samej kategorii i stanowią kolejny poważny problem.

Jeśli ktoś ma kłopoty z zakupem gazety, której nie prenumeruje, ale którą chciałby kupować mniej więcej regularnie, po prostu się odzwyczaja. Sam przecież, choć jestem niezłomnym czytelnikiem podobnych rzeczy, traciłem czasem kontakt z tym lub innym organem wolnej prasy na całe miesiące, tylko dlatego że przez kilka tygodni nie mogłem nigdzie dostać nowego numeru. Sądzę, że ten problem dotyka wszystkie wolne gazety w ogóle.

„4”

Po czwarte, choć ma to również związek z kwestiami ekonomicznymi, wolna prasa cierpi z powodu niedoskonałego poinformowania. Drukuje prawdy przez prasę oficjalną skrzętnie ukrywane, ma jednak wielkie trudności z dostępem do codziennych i powszechnie znanych informacji na temat spraw ogólnych.

Informacje pozyskuje się zazwyczaj wielkim kosztem za pośrednictwem prywatnych informatorów, albo, dzięki przysługom, kanałami oficjalnymi, to jest: od zawodowych polityków. Prasa oficjalna zawodowym politykom robi lub łamie kariery. Dlatego też politycy ci zawsze mówią jej całą prawdę, jaka tylko może im się przydać – podobnie jak i każdy fałsz, który może się im przydać.

Większość periodyków oficjalnych, na przykład, czerpała informacje o „srebrnym” skandalu w Indiach[25] od samych winowajców, tak aby uprzedzić ewentualny atak. Ci, którzy chcieli ów atak wyprowadzić, błądzili po omacku.

---

25 Skandal polityczno-biznesowy wybuchły w 1912 roku, równolegle do afery Marconi. Chodziło o to, że firma brokerska zamożnej rodziny Samuelów potajemnie kupowała dla administracji indyjskiej srebro (w ramach kumulowania rezerw kruszcowych). Że pajęczyna znajomości oplatała także rząd czy np. Izbę Gmin, zaczęto dopatrywać się w tym wszystkim łapownictwa. Szczegóły współcześnie nie są znane. Zazwyczaj spotyka się opinie, jakoby zarówno „srebrny skandal”, jak i afera Marconi nie były w ogóle aferami; spotkałem jedną filosemicką książkę, które określała je mianem „’skandali’” (tak właśnie, w cudzysłowie) i widziała w nich tylko manifestacje fanatycznego antysemityzmu. Dlaczego tak jest, to myślę że Belloc już świetnie wytłumaczył. Pewnych rzeczy nigdy się nie dowiemy.

Trzeba nam bowiem pamiętać, że zawodowi politycy osłaniają się wzajemnie przy okazji każdego finansowego szwindla. W tych sprawach nie ma „opozycji”. Biorąc pod uwagę, że naczelnym zadaniem wolnej prasy jest demaskować fałsz czy czczość kapitalistycznej prasy oficjalnej, można zgodnie z prawdę powiedzieć, że znaczna część energii wolna prasa trwoni właśnie na takie „błądzenie po omacku”, na które jest skazana. Równolegle, trudności ekonomiczne nie pozwalają wolnej prasie płacić za informacje trudne do zdobycia, i tak wobec tych dwóch bolączek pozostaje ona w stosunku do reszty poważnie upośledzona.

„Polityczni prawnicy”

Osobno, bo to nie rzecz uniwersalna, ale charakterystyczna dla naszego własnego społeczeństwa, trzeba nam rozważyć inną potężną bolączkę, trapiącą wolną prasą w tym kraju ze względu na niemożliwą do poskromnienia potęgę politycznych prawników.

Nie muszę chyba specjalnie tłumaczyć jak bardzo wielką siłą dysponuje cech, kiedy już powstanie, mając za sobą do tego silne tradycje korporacyjne. Naczelną tezą głoszoną przez „The New Age”, gdzie ów esej ukazał się po raz pierwszy, jest przecież właśnie to, że cechy narodowe, powstałe we wszystkich dziedzinach życia społecznego, dzięki wrodzonej sobie sile i witalności uratują je od zguby.

Cechy takie, jakie wciąż mamy pośród nas (wyposażone w Statut gwarantujący im monopol i, w związku z tym, podpadające pod to, co w „The New Age” nazywa się „odpornością na łamistrajków”), to, oczywiście, domena uprzywilejowanych klas wyższych. Dwie wielkie korporacje zawodowe, które wszyscy znamy, to korporacje lekarzy i prawników.

Jaka to jest siła mogliśmy przekonać się bardzo niedawno, na przykładzie wyroku skazującego na jedną z najcięższych kar znanych cywilizowanej Europie – dwanaście miesięcy ciężkich robót – człowieka, który skorzystał po prostu z przysługującego mu prawa do udzielenia porady lekarskiej pacjentowi, który z własnej woli udał się do niego na konsultacje. Jak się zdarzyło, pacjent zmarł – podobnie jak mógł umrzeć po konsultacji z lekarzem należącym do cechu. Znane są takie przypadki, gdy pacjenci umierali po konsultacjach z lekarzami należącymi do cechu lekarskiego. Ale że to nieszczęście przydarzyło się akurat

komuś, kto do niego *nie* należał, wywarto na tej osobie – naruszającej przecież monopol cechowy – barbarzyńską zemstę.

Ale nawet cech lekarski nie dorównuje, *qua* cech, potęgą cechowi prawniczemu. Jego możliwości kierownicze sprawiają, że jest on znacznie potężniejszy. Ci, którym „się powodzi" nie muszą korzystać z usług lekarza – ale z usług prawnika już tak, i to na każdym kroku, płacąc za to kwoty niespotykane nigdzie indziej w całej Europie. Niemniej, ową moc prawnie przysługującą cechowi *qua* cechowi, w Anglii współczesnej uzupełnia się jeszcze dodatkowymi, kierowniczymi i arbitralnymi uprawnieniami wybranej grupy jego członków.

Otóż Korporacja Prawnicza stała się ostatnio (z własnej woli i na własną szkodę) czymś praktycznie niemożliwym do odróżnienia od kompleksu zawodowych polityków.

Nie trzeba spędzić roku w parlamencie aby zorientować się, że większość praw tworzą, a wszystkie poprawiają, członkowie cechu prawniczego. Parlament, jako ciało ustawodawcze, praktycznie stanowi dzisiaj komitet prawników, całkowicie obojętnych na fikcję reprezentacji, która ciągle jakoś łączy się z Izbą Gmin.

Trzeba dodać, że tę część swojej pracy wykonują naprawdę uczciwie, że wkładają w nią wiele wysiłku, i że gdy Korporacja Prawnicza *sama* czuje się zagrożona, jest to albo świadoma tyrania, albo świadome oszustwo.

Czymś znacznie wszakże ważniejszym od ustawodawczej mocy cechu prawniczego (dziś będącego zasadniczym twórcą prawa pisanego, jak od długiego czasu był on już *jedynym* twórcą prawa zwyczajowego), jest jego władza wykonawcza względnie kierownicza.

Czy ujawniając skandal polityczny ktoś będzie czy nie będzie ryzykował ruiną materialną czy ograniczeniem wolności, i podpadnięciem pod wyjątkowo okrutny projekt współczesnej kary więzienia, zależy zupełnie (w sensie negatywnym) od cechu prawniczego. To jest, dopóki prawnicy wspierają polityków, nie ma co liczyć na odszkodowanie, i tylko jeśli prawnicy podejmą jakieś niezależne działania przeciw politykom, z którymi tak ściśle się ich dzisiaj identyfikuje, istnieje jakakolwiek szansa na dyskusję

i uczciwy proces. Stara idea prawnika na katedrze, broniącego oskarżonych przed samowolą egzekutywy, sędziego niezależnego od rządu, prawie że zupełnie zanikła.

Można, rzecz jasna, popełniać bezkarnie dowolne przestępstwa, jeżeli zawodowi politycy pośród prawników nie zdecydują się na wszczęcie procesu. To wszakże zło ledwie negatywne. Bardziej poważna jest tutaj pozytywna strona problemu: że czyniąc cokolwiek możemy *ryzykować* nieświadomie poniesieniem dowolnej kary, jeżeli tylko zdecydują się oni wystawić nas na takie ryzyko; ponieważ nowoczesna tajna policja jest wszechobecna i uprzywilejowana, ma moc zgubić swego wroga tysiącami podstępów, wedle uznania rządzących, nawet jeśli politycy nie ciągają go po sądach za ujawnianie korupcji.

Gdy obywatel jest już zgubiony – to znaczy dał się postawić przed trybunałem prawników – to, czy proces doprowadzi go do ruiny, czy nie, jest wyłącznie w rękach członków korporacji; sędzia *może* (przynajmniej raz się to już zdarzyło) przeciwstawić się politykom (którzy zrobili mu karierę, do których należy, i od których zależy jego ogólna pozycja w zawodzie). *Może* zdecydować się pójść pod prąd, ale może też – i tak to wygląda w większości wypadków – wejść w nasz polityczny system i zostać jego tubą.

To właśnie przewaga tej drugiej opcji tak potężnie utrudnia funkcjonowanie wolnej prasy w tym kraju.

Kiedy sędzia zaczyna wysługiwać się politykom, wszyscy wiemy, co następuje.

Najpopularniejszym narzędziem jest tutaj pozew o pomówienie, w wypadkach zaś, w których pragnie się siać grozę wśród przeciwników – o zniesławienie.

Obrony oskarżonego o podobne rzeczy również musi podjąć się ktoś należący do cechu prawniczego – w takim wypadku przyszłość adwokata zależy od tego, czy będzie bronił interesów polityka, to znaczy: zdradzi klienta – albo też, jeśli jakiś ekscentryk zdecyduje się bronić sam, cała siła korporacji zostanie rzucona przeciw niemu pod pozorami wolności, które nie są już nawet hipokrytyczne. Specjalny przysięgły, na przykład, który powinien sprzeciwić się politycznie motywowanemu wyrokowi okaże się wtyczką. W zasadzie jednak nie warto o tym nawet wspominać ponieważ, prawdę mówiąc, ostatnimi czasy żaden przysięgły nie sprzeciwił się politycznym wyrokom.

Nawet wszakże co do wypadków tak jaskrawych nadużyć, których cały kraj jest obecnie świadomy, musimy unikać przesady. Wciąż niemożliwe jest, aby politycy przeforsowali podczas wojny uniewinnienie kogoś, kto dopuścił się jawnego aktu zdrady. Niemniej, argumenty tego typu sprawdzają się przecież w wypadku każdej tyranii, i posiadane (i wykorzystywane) przez polityków możliwości odmowy wszczęcia procesu, niezależnie od tego, czy chodziłoby tu o jawny akt zdrady czy jakiś inny czyn w powszechnym mniemaniu uchodzący za haniebny, praktycznie odpowiada prawu łaski.

W ostatecznym rozrachunku to prawnicy decydują o tym, czy i w jakim stopniu ich współobywatele dysponują wolnością słowa i wypowiedzi, i ponieważ ich korporacja nieszczęśliwie wkomponowała się w całą maszynerię władzy wykonawczej, w Anglii współczesnej wyrażanie opinii tak naprawdę kontroluje egzekutywa. To władza absolutna stopnia nieznanego zgoła, jak mniemam, przeszłym społeczeństwom.

Czymś ewidentnym jest, że spośród wszystkich form aktywności obywatelskiej, pisanie do wolnej prasy stanowi najbardziej bezpośredni gest sprzeciwu wobec samowoli władzy. Wolna prasa nie zna redaktora naczelnego, który nie powie, że w tysiącach wypadków przyszło mu zastanawiać się, czy może opublikować tekst dotyczący tej lub innej konkretnej prawdy, jakkolwiek byłaby ona ważna dla społeczeństwa. I strach, który go pęta, to strach przed zniszczeniem, bo układ zawodowych polityków i prawników istotnie może zmieść go jednym ruchem. Nie zna naczelnego, który nie mógłby opowiedzieć o niezliczonych wypadkach, w których musiał, niezależnie od tego, jak bardzo byłby odważny, zrezygnować z napisania jakieś niezwykle istotnej prawdy, ponieważ wiązałoby się to z destrukcją pisma, którym pośród tylu niebezpieczeństw kierował.

Nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Powolna utrata wolności, która dotknęła nas wszystkich, to rzecz powszechnie znana, stanowiąca jeden z najgorszych symptomów agonii naszego społeczeństwa.

XIII

Dlaczego zatem mówię, że pomimo tak spiętrzonych trudności, biorących się zarówno z niej samej, jak i z oporu, który musi przezwyciężyć, wolna prasa będzie prawdopodobnie zyskiwać na znaczeniu i może, na dłuższą metę, zmienić opinię publiczną?

Pragnę zakończyć uzasadnieniem tego osądu.

Powody, dla których go formułuję, to kwestia nie tylko obserwacji poczynionych przez innych ludzi, ale i moich własnych doświadczeń.

Założyłem „Eye Witness" (zastąpionego później przez „New Witness", którego redaktorem naczelnym został pan Cecyl Chesterton, przejąwszy ode mnie to pismo kilka lat temu, a którym obecnie kieruje pan Gilbert Chesterton) specjalnie po to, aby zapewnić ludziom nowy organ swobodnego wyrazu opinii.

Z intymnego, osobistego doświadczenia wiem, jak poważne są wszystkie wymienione wcześniej problemy. Szybko przekonałem się, że moja własna gazeta mogła wydawać się ludziom wyłącznie czymś partykularnym i osobistym, i że mogła na owej, opisywanej już wcześniej, ekscentryczności w stosunku do opinii ogółu wyłącznie tracić. Na poły komicznie a na poły tragicznie doświadczyłem trudności finansowych; trudności w dostępie do informacji; trudności z dystrybucją, i tak dalej. Redaktor naczelny „The New Age" mógłby powiedzieć dokładnie to samo. Na własnej skórze doświadczyłem, po mnie zaś doświadczył tego Cecyl Chesterton, jak wielkim zagrożeniem są dla swobodnego głoszenia prawdy zawodowi politycy i ich nowocześni prawnicy – i nie mam wątpliwości, że w tym wypadku również naczelny „The New Age" mógłby powiedzieć dokładnie to samo. Co do wolnej prasy w Irlandii, wszyscy wiemy, jak *to* wygląda. Policja niszczy ją po prostu wedle woli.

Wobec podobnych doświadczeń, i pomimo nich, świadomie stwierdzam, że wolna prasa odniesie sukces. Niech mi teraz wolno będzie podać powody tej zuchwałej konkluzji.

XIV

Pierwszą rzeczą, na którą należy zwrócić uwagę jest to, że wolnej prasy się nie przegląda, a uważnie czyta. Grono jej odbiorców, jeśli jest niewielkie, to czytelnicy, którzy nie przegapią ani jednego jej artykułu, niezależnie od tego, czy się z nim zgadzają, czy nie – i którzy chłoną zawarte w niej opinie, świadectwa i argumenty. Spójrzcie uważnie na dzieje a przekonacie się, że wszystkie wielkie *reformy* zaczynały się właśnie w ten sposób: nie od szeroko zakrojonej kontroli działającej odgórnie, ale od spontanicznych wybuchów energii, lokalnych i gwałtownych, działających oddolnie.

Nie można tego powiedzieć o prasie oficjalnej – z tego prostego powodu, że prasa oficjalna naprawdę interesuje się polityką tylko w bardzo nielicznych i krótkich momentach. Czyta ją, oczywiście, tysiąc razy więcej ludzi niż prasę wolną. Niemniej, nie jest ona dla swoich czytelników fascynująca. Nie *informuje* ich także, za wyjątkiem nielicznych okazji opublikowania jakiegoś szczególnego „tematu" bądź „sensacji", w starym sensie tego brzemiennego w treść słowa *„in-formować"*: jej treści ich nie ogarniają, nie sycą, nie zmieniają, nie kształtują na nowe działanie.

Jednym z dowodów na istnienie tego stanu rzeczy – dowodem osobliwym, komicznym, ale jak najbardziej rozstrzygającym – jest to, w jakim stopniu los wielkich gazet codziennych zależy od nagłówków. Spośród stu osób dziewięćdziesiąt dziewięć pamięta tylko nagłówek – bo reszta to po prostu jego kiepskie rozwinięcie.Nagłówek podsuwa ludziom, rzecz jasna, jakiś fakt (lub fałsz) bardzo skutecznie i w błyskawicznym tempie. Tak jak plakat. Niemniej, samo poleganie na podobnych metodach stanowi dowód wewnętrznej słabości, która się za nimi kryje.

Już na początku zatem zaznacza się różnica *jakości* lektury i skutków tej lektury, mająca kapitalne znaczenie dla mojej argumentacji, w związku z czym prosi się czytelnika, aby ją zauważył. Wolną prasę naprawdę się czyta i naprawdę przetrawia. Prasę oficjalną – nie. Słyszy się jej wrzaski – lecz nie dostarcza ona umysłowi żadnego pokarmu. Wchodząc do domu rytownika, nie porównuje się ze sobą pinty kwasu azotowego i setek galonów wody w zbiorniku na dachu i nie mówi, że jedno to mało, a drugie to dużo. Żadna ilość wody nie będzie w stanie naruszyć struktury miedzi. Tylko kwas to potrafi: i mała ilość kwasu wystarczy.

XV

Następnie należy zauważyć, że wolna prasa ma przemożny wpływ, nawet jeśli się z nią nie zgadzają, a szczególnie gdy jej nienawidzą, tę wąską klasę ludzi, którzy odpowiadają współcześnie za krążenie idei.

Nie było jeszcze takiego czasu w historii Europy, żeby masy ludowe miały o sobie tak niskie mniemanie i w takim stopniu zależały (w kwestii ostatecznego kształtu ich życia społecznego) na wnioskach i słownikach nielicznej grupki uprzywilejowanych.

To toksyczny stan rzeczy. Skutkiem jest przejęcie pełni władzy przez maluteńkie kliki tych, którym się powodzi. Przypadkowo jednak, jest to dla wolnej prasy bardzo korzystne.

Wolna prasa usiłuje przebić się właśnie do takiej nielicznej grupy uprzywilejowanych. Bojkot był tak ścisły – i zresztą nadal jest, choć poniekąd słabnie – że zarówno redaktorzy jak i autorzy wolnej prasy prawdopodobnie nie doceniają swojej siły wpływu. Nigdy nie wspomina się o nich w wielkich wydawnictwach codziennych. Prasa oficjalna ma za punkt honoru, żeby raczej odwrócić jakieś wyrażenie do góry nogami czy, jeśli już zachodzi potrzeba cytowania, cytować możliwie jak najbardziej naokoło, raczej niż wydrukować czarno na białym takie trzy słowa: „The New Age" czy „The New Witness".

Istnieje jednak wiele metod sprawdzenia, jak głęboko wpływ wolnej prasy wnika w tkankę społeczną. Oto jedna z nich – pozornie powierzchowna, niemniej przykładam do niej dużą wagę, bo rzeczywiście objawia ona sposoby funkcjonowania ludzkiego umysłu. Pewne wyrażenia, charakterystyczne dla wolnej prasy, zaczynają pojawiać się we wszystkich innych gazetach. Mógłbym podać bardzo wiele przykładów. Podam jeden: „geszefciarz". Pierwszy raz użyto tego słowa, o ile się nie mylę, w jakimś artykule z „The New Age". Teraz jest wszędzie. Nie oznacza to, że wielka rzesza pracodawców wie, o czym mówi, gdy używa słowa „geszefciarz" – nie bardziej, niż wtedy, gdy używa określenia „państwo pańszczyźniane". Zazwyczaj psują oni zresztą „geszefciarza", używając tego wyrazu tak, jakby znaczył po prostu kogoś, kto bardzo dużo zarabia – podobnie jak moje własne wyrażenie „państwo pańszczyźniane", które ukułem na łamach „Eye Witness", oznacza w ich ustach ledwie ścisłą regulację życia państwowego – czyli coś, co ma się do pierwotnego sensu mniej więcej wcale. Chodzi mi jednak o to, że działania wolnej

prasy *już* musiały przynieść spore efekty, skoro sama używana przez nią nomenklatura do tego stopnia przeniknęła do innych gazet i upowszechniła się tak zawrotnie pomimo rygorystycznego bojkotu, któremu ją poddano.

XVI

Czymś znacznie ważniejszym od tej prostej do przeprowadzenia próby związanej ze słownictwem jest wszakże znacznie bardziej ogólna i mniej wymierna próba w kwestii programów i wiadomości. Program cechów narodowych, dla przykładu – „socjalizm syndykalistyczny" według „The New Age", jego naczelnego propagatora w tym kraju – wszędzie się zna i wszędzie dyskutuje. Dziennikarze pracujący u Harmswortha, na przykład, mówią o tej idei, o ile to cokolwiek znaczy, i to mówią o niej coraz częściej, choć wspomnienie przy tej okazji o „The New Age" to coś, czego wartość liczy się w posadach – przynajmniej póki co. I tak samo wyglądało to, jak mniemam, ze wszystkimi wysiłkami wolnej prasy z przeszłości. Propaganda socjalizmu (który, jako idea, odnosił jeszcze kilka lat temu tak ogromne sukcesy), była, przynajmniej w swoim wymiarze dziennikarskim, prawie wyłącznie dziełem organów wolnej prasy, w większości niskonakładowych, z których wszystkie były bojkotowane, nawet same ich nazwy, przez prasę oficjalną. To samo można zgodnie z prawdą powiedzieć o wysiłkach, jakie wspólnie z panem Chestertonem podjęliśmy na łamach „New Witness". Gazetę tę ściśle się bojkotowało i nigdy nie cytowało. Dziś wszakże, wszyscy mówią już, jak wspomniałem, o „państwie pańszczyźnianym", „zawodowych politykach", „tajnych funduszach partyjnych", o „aliasach" za którymi ludzie się chowają, o kupczeniu honorami, liniach politycznych, stołkach gabinetowych i tak dalej.

Co więcej: słyszy się dzisiaj o szeroko zakrojonych manewrach politycznych, tajnych rzecz jasna, ale unaoczniających wagę i skuteczność wolnej prasy. Słyszy się o specjalnych poleceniach wydawanych przez polityków ewidentnie ze strachu przed wolą prasą: o podchodach, uskutecznianych przez tego czy owego kapitalistę celem przejęcia jakiejś wolnej gazety: czasem o przyjęciu planu politycznego, opracowaniu oficjalnego dokumentu, sporządzeniu memorandum bazującego dokładnie na informacjach podanych przez jakiś organ wolnej prasy, o którym wolno wiedzieć tylko jego czytelnikom i w istnienie którego większość przedmieść prawdopodobnie nawet by nie uwierzyła.

Ostatnimi czasy zauważyłem natomiast coś jeszcze istotniejszego. Czasami działania wolnej prasy przynoszą skutek *natychmiastowy*. Było tak ewidentnie w wypadku Vigo, hiszpańskiego Żyda i niemieckiego

agenta[26]. Ze względu na jego koneksje finansowe, prasa oficjalna miała rozkazy mianować go Francuzem i zaopatrzyć w fałszywe nazwisko. Jeden akapit z „New Witness" wystarczył, aby złamać to kłamstwo przed upływem tygodnia.

26 Bonaventura de Vigo (1883-1917) – hiszpański Żyd działający we Francji w ruchu anarchistycznym i socjalistycznym pod pseudonimem Almereyda (anagram od : „[il] y a [de] la merde": „oto gówno"). Podczas I Wojny Światowej wzbogacił się nadzwyczajnie w niejasnych okolicznościach. Założył pismo „Le Bonnett Rouge", ze względu na swoją prokomunistyczną i proleninowską propagandę zamknięte przez cenzurę. W roku 1917, gdy wracał z wycieczki do Szwajcarii, został zatrzymany i przeszukany, a policja znalazła przy nim czek z niemieckiego banku na 100 000 franków. Aresztowany pod zarzutem płatnego szpiegostwa na rzecz Niemiec, zginął w więzieniu, prawdopodobnie zamordowany (uduszony sznurówkami; policja stwierdziła „samobójstwo"). Istnieje ponoć sporo poszlak wskazujących, że do tego niejasnego układu mogli należeć także niektórzy prominentni francuscy politycy (a nawet członkowie rządu), którzy mogli zażyczyć sobie, aby młody komunista zabrał jego sekrety do grobu.

XVII

Następnie zwróćmy uwagę na ten potężny czynnik w całej sprawie. *Prawda potwierdza samą siebie.*

Pół miliona ludzi czyta na przykład o jakimś zawodowym polityku, że jego przemówienie było „elektryzujące", czy że to człowiek osobowości „magnetycznej", czy też, że potrafi on „przyprawiać ludzi o płacz i śmiech wedle swojej woli". Jakaś wolna gazeta pisze o nim prawdę i stwierdza, że to nudny mówca, że gada komunałami, człowiek starszy i trącący kruchtą, sprawiający takie wrażenie, jakby był ciągle zmęczony; podniecający fałszywy entuzjazm bezbarwnymi frazesami, które dziennikarze lata temu nauczyli się oddawać dla zwięzłości przy pomocy pewnych ustalonych znaków*. Cóż, ów fałszywy, ów absurdalnie fałszywy obraz zaprojektowany po to, aby postawić danego polityka na świeczniku (w zamian za określony zestaw przysług, rzecz jasna) dla nie mniej niż 500 000 ludzi pozostaje zapewne wersją obowiązującą. Prostą i cokolwiek mało ekscytującą prawdę przyjmie zapewne najwyżej parę setek.

Prędzej czy później wszakże, pewna wąska grupa spośród wymienionych wyżej 500 000 naprawdę rzeczonego polityka *usłyszy*. Usłyszą, w jaki sposób przemawia. Zachowają z tego elementarne i prawdziwe wrażenia.

Jeżeli nie przeczytali wcześniej niczego, co choćby zarysowywało prawdę, prawie pewne jest, że przyswojony wcześniej fałsz wciąż będzie wywierał na nich niemały wpływ, pomimo świadectwa ich własnych zmysłów. Ludzie są tak skonstruowani, że fałsz, któremu nikt nie zaprzeczy, a który powtórzy się odpowiednią ilość razy, naprawdę potrafi stać się tak osobliwie potężną iluzją. Gdyby opinii publicznej nie informowało nic poza prasą oficjalną, ktoś usłyszawszy tego starszego gentlemana mógłby powiedzieć do siebie: „Nie jestem pod wrażeniem, ale to pewnie moje zmęczenie. Nie mogę nie wierzyć, że znakomita reputacja, jaką ów człowiek się cieszy, ma mocne podstawy. To musi być wielki mówca – przecież wszyscy tak go nazywają".

---

* Jeden z moich przyjaciół pracujących w parlamencie zwykł stosować mały zawijas na „Muszę się przyzwyczaić, że rząd", a na „Bo cóż takiego uczynił ten prawy i honorowy gentleman, szanowny mówco? Otóż poważył się on" dwie spiralki [przypis Belloca].

Lecz ktoś, kto choć raz w życiu zobaczył na piśmie opis tego polityka *takim, jakim jest* przypomni sobie natychmiast te wszystkie twierdzenia (które w pierwszym kontakcie wydały mu się zapewne fałszywe); fizyczne doświadczenie potwierdziło prawdziwą tezę i tchnęło w nią życie. Takie zapisy prawdy, nawet w zasadzie nie bardzo istotne, lecz w większym stopniu, rzecz jasna, te, które dotyczą jakiegoś znaczącego momentu w życiu społecznym, działają kumulatywnie.

Pewien jestem, na przykład, że obecnie większość klasy średniej nie tylko poznało, ale i uznało prawdę, iż Izba Gmin przed wojną była wielkim oszustwem; że jej debaty nie dotykały problemów naprawdę dzielących społeczeństwo, i że nawet jej śmieszne interpelacje, te pozory prawdziwej opozycji, wszystko to było fałszem.

Do owej zbawiennej prawdy dotarto ostatecznie, rzecz jasna, wieloma innymi kanałami. Skandaliczne układziki między „na górze", które wepchnęły nam w gardło Ustawę Ubezpieczeniową[27] sprawiły, że wielu ludzi przejrzało na oczy. Podobnie jak cyniczne działania polityków w sprawie chińskiej siły roboczej po wyborach 1906 roku. Czy jak infantylny teatrzyk wokół ustaw wyjmujących Walię spod jurysdykcji Kościoła anglikańskiego[28] czy Ustaw Edukacyjnych[29].

Wszakże pośród tych sił, które otworzyły ludziom oczy na realną sytuację Izby Gmin, wolna prasa odegrała niebagatelną rolę, choć nigdy nie wspominało się o niej w prasie oficjalnej, i nawet jeden na wiele setek obywateli nie słyszał o jej istnieniu. Nieliczni, którzy ją czytali, z przerażeniem musieli uznać prawdziwość jej tez, ze względu na to, jak doskonale odpowiadały one obserwowanym faktom.

Człowiek, który mówi prawdę, podczas gdy wszyscy jego koledzy po fachu kłamią, zawsze zbiera owoce pewnej mocy prorockiej, zastrzeżonej dla nielicznych. Gdyby zaistniał powszechny spisek mający na celu utrzymywać wśród ludzi fałszywą wiarę w to, że wszyscy parowie mają sześć stóp wzrostu, ktoś chcący

27 Narodowa Ustawa Ubezpieczeniowa z 1911.

28 Oryg. *Welsh Disestablishment Bill z* 1914, przemieniający walijskie diecezje Kościoła anglikańskiego w niezależny Kościół Walii (motywacją były kwestie podatkowe).

29 Seria ustaw dotyczących edukacji w Wielkiej Brytanii, wydawana w latach 1901-18. Pierwszą kontrowersją wokół niej było samo to, że wprowadzała powszechną edukację państwową pod jurysdykcją Kościoła anglikańskiego, likwidując szkoły dysydenckie. Ze względu na to, wywoływała ona sprzeciw wielu liberałów.

przeciwstawić się temu fałszowi mógłby zupełnie bezpiecznie powiedzieć: „Nie wiem, czy *następy* par, jakiego spotkacie, będzie mierzył sześć stóp, czy nie, ale bez ryzyka mogę przepowiedzieć, że pośród tuzina takowych znajdzie się trzech lub czterech, którzy będą niżsi".

Gdyby zaistniał spisek mający utrzymywać wśród ludzi wiarę w to, że ludzie z dochodami powyżej kwoty wolnej od podatku ani razu nie oszukali nikogo w interesach, nie można by powiedzieć: „tego a tego dnia oszuka cię w interesach ten a ten, którego dochód jest wyższy niż kwota wolna od podatku" – ale: „Wynotuj sobie nazwiska wszystkich, którzy okantują cię w ciągu następnych pięciu lat – prorokuję, że niektórzy z nich będą płatnikami podatku dochodowego" to już inna rzecz.

To światło prorockie, łączące się z prawdomównością, jak zauważyłem robi na ludziach bardzo duże wrażenie. Zacny mieszkaniec prowincji jeszcze dziesięć lat temu mógł być zszokowany wiadomością, że miejsca w wyższej izbie parlamentu regularnie kupuje się i sprzedaje. Mógł z oburzeniem zaprzeczać. Wolna prasa mówiła: „Jeszcze chwila, a na własne oczy zobaczysz, jak człowiek niekompetentny i nieznany, ale bardzo bogaty, objawi się jako ustawodawca z władzą dziedziczną, która, gdy on sam umrze, przejdzie na jego syna. Nie wiem, kto to będzie, ale pewne jest, że coś takiego wydarzy się bardzo niedługo, bo to się dzieje, i to dzieje ciągle. Nie będziesz potrafił tego wyjaśnić. A wyjaśnienie jest takie, że ten zamożny człowiek dał sporo pieniędzy zawsze potrzebującym zawodowym politykom. Sela![30]"

Nasz zacny prowincjusz mógłby był usłyszeć ledwie echo tej prawdy, bo czytałoby o niej, jeszcze dziesięć lat temu, ledwie kilka osób. Mógłby był nie zobaczyć z niej w gazetach codziennych ani sylaby. Ale różne rzeczy chodzą po ludziach. Widzi zatem najpierw, jak wielki żołnierz, a potem bardzo reklamowany polityk, niebogaty, ale bardzo popularny, zostają parami. W obu wypadkach to rzecz zupełnie normalna i to go nie rusza. Prędzej czy później wszakże, dzieje się coś takiego, co zna mniej-więcej z pierwszej ręki. Pytam sam siebie: „Jakim cudem ten a ten został parem (czy prezesem partii, czy kim jeszcze)? Czemu, na miłość Boga, tego bardzo bogatego, ale według mojej wiedzy niekompetentnego i nieznanego przecież człowieka tak nagle wpycha się na stołek?" Nagle przypomina sobie, co mu w tej sprawie mówiono, zaczyna zadawać pytania i przekonuje się, rzecz jasna, że pieniądz krąży; być może, jeśli ma szczęście, dowie się do tego, jaki zawodowy polityk sobie ten pieniądz przytulił – a nawet ile go było!

30 Słowo kończące 71 psalmów, którego znaczenie pozostaje nieznane.

XVIII

Skutek, jaki wywiera wolna prasa dzięki wszystkim tym przyczynom, porównać można do kumulatywnego skutku jednej z wielkich ofensyw obecnej wojny. Żaden cios, wzięty pojedynczo, nie jest szczególnie dramatyczny ani nie przynosi jakichś zawrotnych skutków; postępy są małe bądź żadne. Na mapie wygląda to rozczarowująco. Niemniej, każdy cios coś mówi, i *kiedy ofensywa dobiegnie końca,* wszyscy nagle zorientują się, co tak naprawdę, w kumulacji, sprawiła.

Wolna prasa nie powiedziała w ciągu ostatnich kilku lat ani jednej rzeczy, która nie znalazłaby potwierdzenia w rozwoju wypadków – i to czasami potwierdzonego w zadziwiająco szybkim tempie i z całym mnóstwem szczegółów.

Być może nieco zabobonnie byłoby wierzyć, że mocne i odważne głoszenie prawdy wyprasza w Niebiosach nowe, niespodziewane i wyraziste przykłady na świadectwo dla siebie. Ale naprawdę, wydarzenia ostatnich kilku lat prawie że zmuszają człowieka do podobnej zabobonności. Wolna prasa musiała ledwie wskazać na pewną prawdę co do spraw politycznych, której prasa oficjalna nie chciała opublikować, by same gwiazdy na swych drogach niemalże zaczęły walczyć o jej ujawnienie. Jakieś nienormalne przypadki rzucały ją przed oczy opinii publicznej ledwie kilka momentów później! Ledwo co wspólnie z panem Chestertonem zaczęliśmy pisać co tak naprawdę dzieje się w Westminsterze, a przedstawiciele korporacji Marconi z wielką grzecznością przyszli nam w sukurs.

XIX

Jest jednak w tych stopniowych postępach wolnej prasy na jej drodze do sukcesu jeszcze jeden czynnik, który uważam za najważniejszy ze wszystkich. To czynnik czasowy w następstwie ludzkich pokoleń.

To stara śpiewka, że paradoks jednej epoki w następnej staje się komunałem – i śpiewka ta jest prawdziwa. Jest prawdziwa dlatego, że formacja młodych ludzi ma dwie przyczyny. Pierwszą jest rzeczywistość i nowość doświadczeń, drugą – autorytet starszych.

Widać to dobrze na przykładzie reputacji poetów. Na przykład, w sytuacji, w której A ma lat 20, B – 40, a C – 60, pojawia się nowy poeta, być może uznawany za ekscentryka. A natychmiast rozpoznaje tę nowość i zaczyna ją podziwiać, ale wstydzi się powiedzieć swoją opinię z obawy, że jest niedojrzała, i trzyma język za zębami. B jest w środku swojego życia, ma zbyt wiele spraw i za bardzo stwardniał, aby potrafił wychwycić tę nutę nowości, wyższość zaś, jaką cieszy się w stosunku do A sprawia, że biedny A staje się coraz bardziej niepewny swego. C czuje do rzeczonej nowości otwartą pogardę. Zjadła go starość i rutyna.

Minie dwadzieścia lat, i wszystko zmieni się jak następuje. C nie żyje. B się zestarzał i ma mniej władzy i mniejszy autorytet. A osiągnął wiek średni, pewien jest swoich gustów i nie chce pytać starszych o zdanie. Od dawna wyraża podziw dla nowego poety, który, istotnie, przestał być „nowym poetą”, ale zamienił się, być może, w powszechnie uznanego klasyka.

Wszyscy widzimy to zjawisko w sferze literatury. Uważam, że w sferze idei politycznych zachodzi dokładnie to samo, i to z dwadzieścia razy większą mocą.

Czy ktokolwiek może sobie wyobrazić, by ci, którzy pięć czy sześć lat temu opuścili uniwersytety wrócili teraz z wojny i ciągle traktowali Izbę Gmin poważnie? Ja w każdym razie nie. Jako studenci słyszeli o jej kryzysie; jako młodzi ludzie przekonali się, że mówienie prawdy w tej kwestii to rzecz dla starszych pokoleń irytująca, i gdy ją mówili zawsze czuli przy tym – być może z niemałą przyjemnością – że postępują w sposób poniekąd dziwny, impertynencki, może nawet przesadny. Kiedy skończą wszakże lat 30

czy 40, wezmą tę prostą prawdę za coś normalnego. Nie będą już musieli obawiać się starszych, ich osąd zaś z całą pewnością będzie wtedy dojrzały i ukształtowany. O ile w Izbie Gmin nie dokona się do tego czasu jakaś rewolucja, zamieni się ona w zwykły żart – i to, miejmy nadzieję, żart w znacznej mierze niewinny.

Dzięki tym narastającym i kumulatywnym skutkom głoszenia prawdy, nawet prawdy okaleczonej lub przeinaczonej przez zbytni entuzjazm, wszystkie bolączki, które ją trapią, stopniowo będą słabnąć. Największa siła przeciwna temu, aby ludzie dowiedzieli się prawdy – samodzierżawie wciąż wykorzystywane przez politycznych prawników do niszczenia wolnego pisarstwa – jak sądzę, będzie słabnąć.

Jakby nie patrzeć, działanie sądów zależy w znacznej mierze od powszechnych opinii. Dwadzieścia lat temu, na przykład, oskarżenie jakiegoś zawodowego polityka o łapówkarstwo uznano by za potworność i, niezależnie od tego, jak bardzo byłoby prawdziwe, jego koledzy, polityczni prawnicy, prawie zawsze zrobiliby z niego pretekst do brutalnych represji. Dzisiaj stało się to do tego stopnia oczywistością, że każda próba odwołania się do zamierzchłej iluzji skończyłaby się kompletnym fiaskiem. Znakomity prawnik nie mógłby już udawać świętego oburzenia i niedowierzania usłyszawszy, że ten a ten minister wplątał się w taką a taką aferę finansową. Dzisiaj takie rzeczy to normalność.

XX

To, co do czego mam wątpliwości, to czy ów nadchodzący i już widoczny sukces wolnej prasy zdoła spowodować reformy demokratyczne.

Uda jej się przynajmniej tyle, że prawdę powie się wreszcie w miarę otwarcie i w miarę rzetelnie. Skruszy mury dzielące wąską, cyniczną klikę rządzących, którzy znają prawdę, a wielką masą wykształconych mężczyzn i kobiet, którzy nie mogą poznać jej za pośrednictwem słowa mówionego i pozostają skazani na słowo pisane. Zobaczymy – jak mniemam jeszcze za życia tych, którzy o to walczyli – uczciwe debaty na temat wszystkich problemów naszych czasów, szczególnie problemów ekonomicznych. Nie mam wszakże bladego pojęcia jak można by sprawić, by masy ludzkie zainteresowały się na powrót tym, jak są rządzone, czy nawet perspektywą odbudowy ich niezależności ekonomicznej.

To, co widzę w otaczającym mnie świecie jasno wskazuje, że powszechne pragnienie wolności, a nawet krytycznego myślenia, kompletnie zanikło. Pracownik kontraktowy domaga się tylko regularnie wypłacanych, w tym przez system zasiłków, pieniędzy na utrzymanie, a także, co uważa osobiście za element godnego życia i samowystarczalności, odpowiednich ilości czasu wolnego. Nie widzę natomiast najmniejszych objawów tego, żeby domagał się własności w sensie udziału w środkach produkcji. Może się to zmieni; ale wszystkie przesłanki każą sądzić przeciwnie. Co zaś do społecznego oburzenia na skorumpowany rząd, nie ma póki co (poniżej poziomu kilku zaznajomionych ze sprawą, którzy albo sami przytulają sobie coś z puli, albo wzruszają ramionami) żadnych znaków pozwalających sądzić, że okaże się ono dość silne, aby cokolwiek zdziałać.

Wszystko, na co możemy mieć w tym momencie nadzieję, to skutki negatywne: moim zdaniem, przynajmniej. Możemy nadkruszyć potęgę prasy kapitalistycznej. Możemy demaskować ją tak, jak demaskowaliśmy polityków. Jest ona bardzo potężna, ale łatwo ją zniszczyć – jak to jest w wypadku wszystkich ludzkich spraw, które opierają się na kłamstwie. Możemy spodziewać się, że – ze zwłoką być może podobną do tej, która potrzebna była aby stawić pod pręgierzem, a zatem: okulawić, ów żałosny fałsz i niekompetencję zwaną „systemem partyjnym" (to znaczny nie dłuższą niż około dziesięć lat) – uda nam się zgotować prasie oficjalnej podobnie ciężki los. Pod pewnymi względami ryzyko porażki jest tutaj

mniejsze, ponieważ nasz wróg jest z pewnością gorzej zorganizowany. Nic więcej wszakże, ponad tych kilka rzeczy, nie uda nam się ugrać. Wydobędziemy pewne sprawy na światło dzienne – i tak też je zniszczymy. Nie wywołamy żadnej akcji zbiorowej, bo metody i instynkty wspólnego działania obywatelskiego przepadły.

Może wydawać się, że podobna konkluzja implikuje, iż rozmyślny i nieprzerwany wysiłek głoszenia prawdy bez nagrody, i zawsze wobec tego czy innego zagrożenia, to rzecz bezużyteczna; i że ci, którzy najlepszą część swojej pracy dobrowolnie poświęcają właśnie sprawie wolności słowa, trudzili się na marne. Nie o to mi jednak chodzi: chodzi mi o coś zupełnie odwrotnego.

Osobiście bez wątpienia będę w przyszłości do tej prasy pisał i w niej publikował, tak jak czyniłem to zresztą w przeszłości, nie zważając na bojkot w przestrzeni publicznej i w kwestii dotacji reklamowych, który ma na celu ją zniszczyć i sprawić, aby wszystkie nasze wysiłki okazały się bezowocne. Będę tak czynił, choć wiem, że za każdego czytelnika „The New Age" czy „New Witness" mógłbym mieć tysiąc czytelników „Weekly Dispatch" czy „Times".

Będziemy tak czynić, ja, a także wszyscy którzy wespół ze mną służą, *po pierwsze* dlatego, że choć to póki co robota o charakterze wyłącznie negatywnym, istnieje coś takiego (i wszyscy to czujemy) jak *vis medicatrix naturae*[31]: i czy prędko, czy nieprędko, każdy przekona się kiedyś, że zwalczając zło, czynił dobro: *po drugie* zaś, ponieważ wymaga tego honor i szacunek do siebie. Nikt, kto zna prawdę i może ją wypowiedzieć, nie jest w stanie ukrywać jej długo z obawy, czy nawet z rozpaczy, bez ściągania hańby na swoją głowę. Ujawnić prawdę pomimo wszelkich trudności, nawet jeśli społeczeństwu na nic się to już nie przyda, to rzecz konieczna dla duszy.

Mamy jeszcze tę ostatnią pociechę, że ci, którzy porzuciwszy nas dołączają ostatecznie, czy to ze strachu czy z chciwości, do silniejszego stronnictwa obłudników, stopniowo tracą wszelkie szanse na zdobycie literackiej sławy. Dobre pisarstwo nie może przetrwać w atmosferze mechanicznej hipokryzji. Oni, wraz ze swoją gigantyczną współczesną publiką, to najmici skazani na zapomnienie. My, spowici szczelnie milczeniem dzisiejszego świata, jesteśmy dziedzicami tych, którzy wznieśli polityczną wielkość

31 Łac. Po polsku: „siła leczenia natury", czyli naturalna zdolność do samoregeneracji.

Anglii na fundamencie wolności słowa, i prozy, jaka się z niej poczyna. Ci, którzy wolą się sprzedać albo pozwolić się zastraszyć nie zyskują, z reguły, nawet owego efemerycznego bezpieczeństwa, dla którego zdradzili swoich druhów; pozostawiając w naszych rękach jedyną pewną i nieprzemijającą formę władzy politycznej: dar panowania mocą perswazji.

KONIEC